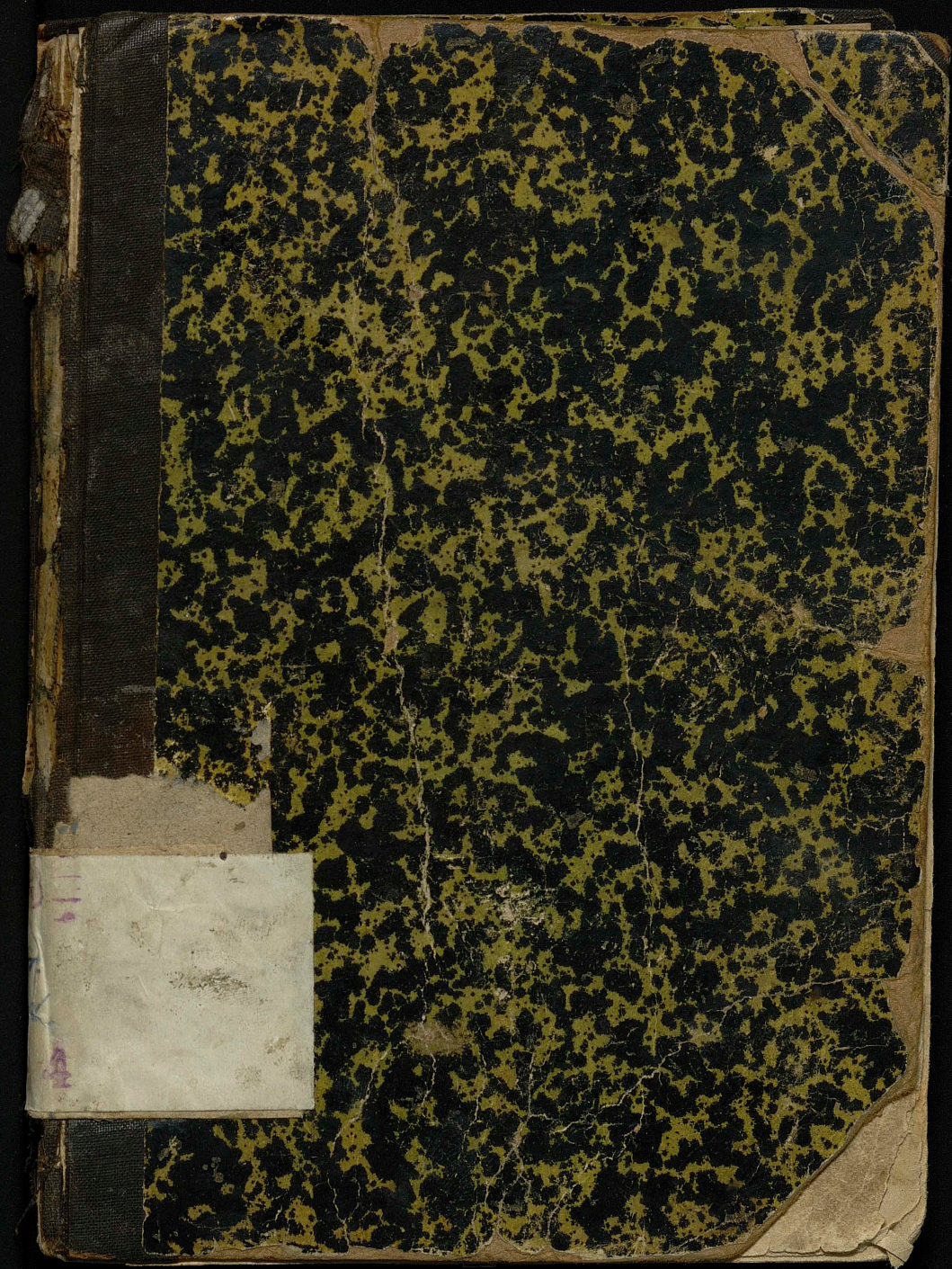






~~Rechnung~~ ~~Sammlung~~
~~Rechnung~~ ~~Sammlung~~ ~~Lo bin~~
~~Rechnung~~ ~~Sammlung~~ ~~Lo bin~~

ol.

NAD TUGELĄ.

Osobiste wspomnienia z wojny transwalskiej.

PRZEZ

porucznika AUGUSTUSA.

Dodatek do „SŁOWA”

Państwowe
GIMNAZJUM I LICEUM Nr. 1
w Białymstoku

dnia 22.XI. 1908

Nr. 2454

WARSZAWA.

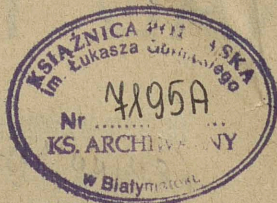
DRUKIEM NOSKOWSKIEGO

15. ulica Warecka 15.

1902.

o po-
aczki
pełen
oby-
przez
opis
czy-
aspo-
yscy-
armię

1124



929 August

A 54325 S

74

PRZEDMOWA.

Autor tych notatek, porucznik Augustus; po powrocie w roku zeszłym z sześciomiesięcznej wojaczki w Afryce Południowej, ogłosił swój dziennik, pełen barwnych obrazów i trafnych spostrzeżeń o życiu i obyczajach *burgherów*. Z tego dziennika, podanego przez paryską „Revue Hebdomadaire,” zaczerpnęliśmy opis pierwszych kroków na ziemi transwalskiej; nasi czytelnicy znajdą ciekawe poglądy na charakter i usposobienie Burów, na ich organizację, strategię, dyscyplinę; i t. d. Te szkice malują ową niezwykłą armię stokroć lepiej, od teoretycznych wywodów.

Przyp. tłóm.

...Cisza i spokój panowały na ulicach Pretoryi. Z po za drzew pomarańczowych widrć było kwieciste balkony, wille i domki z czerwonymi dachami. Patrząc na obszerne ogrody i niezabudowane place, można było sądzić, że się jest na wsi, lecz złudzenie to rozwiewały druty telegrafów i telefonów, przerzynające błękit nieba we wszystkich kierunkach.

Południe. Stałem przed parlamentem, w którym ześrodkowuje się cała administracya państwowa Burów. Pod portykiem, na kurytarzach, na schodach; kręciło się mnóstwo ochotników, już przybranych w kapelusze burskie z dużymi skrzydłami, opasane wstążką o czterech barwach Transwalu.

Chciałem jaknajprędzej zapewnić sobie miejsce w szeregach dzielnych *burgherów*. Procedura werbunku jest prosta — żadnych formalności, żadnych przepisów; jedni przedstawiają się sekretarzowi stanu Reitz, czci-godnemu staruszkowi, inni nie chcą czekać aż przyjdzie na nich kolej prezentacyi, idą wprost do *Departement van den Commandant-general*.

Tam, p. Souza, młodzieniec o typie portugalskim, spełnia rolę ministra wojny i odbiera przysięgę od ochotników, poczem sekretarzowie wydają bony na

wyekwipowanie, oraz paszporty do danej kolumny operacyjnej.

Sąsiednia sala owego *ministryum* była zapełniona karabinami, przeważnie starego typu Martini-Henry, (to jest bez magazynów i bez bagnetów), siodłami, strzelionami, nabojami i t. p.

Zamęt okropny. Souza i jego urzędnicy nie znając innego języka, oprócz angielskiego i holenderskiego, szukają wszędzie tłumaczy, aby przełożyć niezadowolonym ochotnikom, że zbrakło karabinów Mausera i że dlatego tylko dostają stare.

Tymczasem kilku przemysłnych Niemców zdobyło specjalne bony, dzięki którym mieli nadzieję zaopatrzyć się w broń w składach miejskich.

Sądziłem, że dla wyruszenia w drogę nie potrzebuję szybkostrzelnego karabinu, ani nowego siodła, gdyż znajdę łatwo jedno i drugie na polu bitwy, to też wyszedłem z *departamentu*, starając się uspokoić towarzyszy. Koniec końcem dostali stare siodła angielskie i karabiny Mausera.

Potrzebowałem munduru, albowiem okradziono mnie w Laurencio-Marquez i przybyłem do Pretorii nie mając nic przy sobie, oprócz gramatyki holenderskiej.

Oświadczone nam, że państwo poniesie koszt naszego utrzymania w hotelu, że mogliśmy wybierać z jaką kolumną chcemy walczyć i kiedy pragniemy wyruszyć.

Skutek tych hojnych zarządzeń był taki, że bardzo wielu ochotników, pod pozorem formowania t. zw. *commandos*, przebywali całymi tygodniami, a nawet i miesiącami w Pretorii w najlepszych hotelach, zjadali, pili, nie troszcząc się o nic więcej.

Jeden z nich, porucznik strzelców afrykańskich, z którym zapoznałem się w salach *Grand-Hôtelu*, redagował do pewnego dziennika paryskiego dokładne opisy bitew, w których brał rzekomo udział pod Colenso i nad Tugelą. Przynajmniej ten od czasu do czasu szedł na plac boju, aby zdać sobie sprawę z taktycznej pozycji obu stron. Lecz mniej skrupulatni gentlemeni chodzili do *Departament van den Commandant-general*, brękali ostrogami, prosili dla siebie i dla *pięciu* kolegów o konie, broń, amunicję, a otrzymawszy je, sprzedawali natychmiast z licytacji, ma się rozumieć tajnych, dzięki usługom synów Izraela.

Krażyłem po kurytarzach Parlamentu między ochotnikami, rumianymi artylerzystami w haftowanych mundurach, łysymi członkami *Volksraadu*, żydowskimi dostawcami, urzędnikami, gdy nagle usłyszałem okrzyk:

— Prezydent! Proszę przepuścić prezydenta!

Ukazał się Krüger, duszpasterz i dowódca polityczny w jednej osobie; szedł krokiem powolnym, z głową spuszczoną i zmierzał ku przedsiownikowi, nie widząc jakby tłumu, rojącego się dokoła.

Co za potęga moralna w tym człowieku! jaka ufność w zwycięstwo dobrej sprawy! Co za bezgraniczna wiara w Boga, stojącego po stronie słuszności, a nie siły. Jaką ten starzec musi mieć nadludzką energię, skoro porwał się do walki z dumną władczynią mórz i oceanów!

Nie znałem osób z jego świty, lecz objaśniono mnie, że idący za nim mężczyzna — tęgi, wysokiego wzrostu, o wymijającym spojrzeniu, jest ministrem tajnej policyi i synem prezydenta. Nie podobał mi się ten podwójny charakter, złączony w jednej osobie,

— Jakto? Wasza republika jest patryarchalna, a starszy syn prezydenta odgrywa w niej rolę Gorona? ¹⁾

Ujrzałem dalej bohatera bitwy z dnia 27 grudnia 1899 r., generała Bothę. Wzrostu powyżej średniego, o cerze jasnej, oczach żywych, rozumnych, głosie doniosłym, wyróżnia się odrazu z pośród flegmatycznych Burów, to też jest niesłychanie popularnym i zażywa wielkiej powagi.

* * *

Otrzymałem nazajutrz dla siebie i swoich towarzyszków konie, brzydkie wprawdzie, ale wytrzymałe, znaczone na zadach literami Z. A. R. (Zuid-Afrikanische Republick); dostałem dalej płaszcz nieprzemakalny, parę sakw, manierkę, fajkę i kapciuch do tytuniu i bilet, dający prawo wolnego przejazdu kolejami.

Po rozwadze postanowiłem przyłączyć się do Burów, którzy walczyli przeciw żołnierzom Bullera nad Tugelą. Inni ochotnicy, nie śpiesząc się z wyruszeniem, zamierzali złączyć się ze swoimi narodowymi *commandos*, walczącymi pod Ladysmith, Colesberg lub Kimberley.

Trzej Rosyanie i jeden Niemiec, z którymi zapoznałem się na okręcie, wyrazili chęć towarzyszenia mi w tej kampanii. Dwaj znaleźli się na dworcu kolejowym, było Daszkow, porucznik rezerwy i Nakoszkkin, porucznik piechoty.

Po wyprawieniu koni i wydzieleniu obroku, czekaliśmy odjazdu, paląc papierosy, gdy ukazał się trzeci Rosyanin Ripert. Towarzyszyła mu dama jego serca, przybyła za nim z kraju; jej zaczerwienione oczy

¹⁾ B. prefekt policji paryskiej.

mówiły, jak wielką ponosi ofiarę. rozstając się, może na zawsze, z ukochanym. Przywdziała już była mundur Czerwonego Krzyża, w którym, mówiąc nawiasem, było jej ślicznie.

Pociąg ruszył. Stałem na platformie wagonu, iskry fruwały nad moją głową i gasły w ciemnościach. Gwiazda Południowa przyświecała ziemi uśpionej. Stacje kolejowe przepełnione były uzbrojonymi Burami; wracali z Ladysmith, dążąc na odpoczynek. Słychać było ich żarty i śmiechy, cieszyli się — może ze zwycięstw, a może z powrotu do domów i dwutygodniowego wytchnienia.

Komisarze stacyjni wydzielali ochotnikom chleb jęczmienny, puszki z *corned beef* i sardynki; konie dostały po wiązce owsa.

Nie w jednym wypadku miałem sposobność przekonać się, jak dobrze Burowie uprowiantowali wojska w drodze; pod tym względem stali znacznie wyżej od Anglików.

W miarę, jak zbliżaliśmy się do granic Natalu i Drakensburga, krajobraz stawał się coraz bardziej malowniczy: nagie szczyty strzelały ku niebu, rozciągały się doliny, zroszone rzekami.

Pociąg wspinał się na góry, spuszczał się w wąwozy, wreszcie wjechał na stację *Prospect*; ujrzelśmy ciężkie cielsko góry Majuba, sterczącej dwoma bliźniaczami szczytami — Majuba-hill i Amadjuba.

Ileż to wspomnień sama ta nazwa budzi w Transwalu! Tam w r. 1881, 27-go lutego, 80 Burów wypędziło Anglików i położyło trupem sześciuset żołnierzy z ich dowódcą, generałem Colley. Odtąd góra Majuba łączy

się we wspomnieniach Burów z tym zwycięstwem, zaś w Anglikach budzi żądzę pomsty.

— *Amajuba! Sons of a bitch!* (Amajuba! psie syny!) — wołali ułani królowej w Elandslaagte, rzucając się znienacka na Burów. Ten sam okrzyk rozbrzmiewał w następstwie pod Spionkop i rozbrzmiewać będzie jeszcze długo.

Z tych rozpamiętywań obudził mnie głos Riperta.

— Chodźmy, panowie — wołał zdobywca sere — może się znajdzie trochę *whisky* dla odwilżenia gardła.

* * *

Pozostawiliśmy za sobą Majubę i wjechawszy do Natalu, mknęliśmy przez terytorium angielskie, po którym krążyły swobodnie zwycięskie *commandos* Burów. Mijaliśmy opuszczone fermy, kominy fabryk, spopielale zgliszczą; minęliśmy Newcastle, miasteczko ładne, choć nawpół zburzone i zupełnie wymarłe.

W Glencoe ujrzelśmy po raz pierwszy więźniów angielskich; rozmawiali wesoło, śmieli się, byli zadowoleni ze swego losu, a zwłaszcza z *whisky*, którym częstował ich hojnie jakiś urzędnik w czapce mundurowej. Zbliżyłem się do tych drabów w czerwonych kurtkach i spodniach sznurowanych rzemieniem od kolan do kostki. Na blachach pasów mieli wypisaną dewizę starożytnych Normanów „*Dieu et mon Droit.*”

Gdzież jest właściwie prawda i sprawiedliwość? Z jednej strony Krüger wygłasza na kazaniach, że Bóg będzie kierował kulami *burgherów*, z drugiej — londyński *War office* wypisuje imię Boga na paskach angielskich żołnierzy

Zwracając się do jednego z więźniów, spytałem łamaną angielszczyzną:

— *What is the name of your regiment my brave?*¹⁾

Zuch odpowiedział:

— *Royal Dublin-Fusils*” — i pokazał mi palcem *burghera*, stojącego opodal, który ozdobił swój kapełusz trzema literami mosiężnymi, wyjętymi z epolety więźnia: *R. D. F.*

— *Tobacco, please sir* — prosił mnie żołnierz angielski.

Oddałem mu przedostatnie cygaro i stosownie do przepisów, zalecających indagację więźniów i krajowców, jako środek poznania siły nieprzyjacielskiej, chciałem zadać mu szereg pytań, wchodzących w zakres mojej znajomości języka angielskiego, gdy dowódca eskorty z parasolem w ręku i karabinem na ramieniu, zawołał:

— *Terug, Kerls!*²⁾

Wyprowadzono jeńców i zapełniono nimi wagony pociągu, który niebawem wyruszył do Pretoryi. I znowu zdziwił mnie znaczny napływ Burów, wyjeżdżających na odpoczynek.

Widać było ich twarze brodate, ogorzałe, w oknach wagonów pierwszej i drugiej klasy; powiewali kapeluszami i mówili jakieś słowa niezrozumiałe.

Nasz pociąg, choć oddzielony o kilka stacyj od krańcowego punktu Modder-Spruyt, zatrzymał się w Glencoe; *nolens volens* trzeba było umieścić się w pięć osób w ciasnym przedziale. Daszkow wioził z sobą koldrę, pled, puchową poduszkę z białą powłóczką, haftowaną w arabeski i zagadkowe litery.

¹⁾ Jaka jest nazwa twego pułku, mój zuchu?

²⁾ Cofajcie się, dzieci.

— Tę poduszkę ofiarowały mi damy z Nezińska w dniu mego wyjazdu. — mówił — To herby Transwalu i dwuwiersz:

Dum-Dum, lyddite épargnera,
Celui qui s'y reposera.

A tutaj literami gotyckimi wypisane słowa: *Fraternité, Egalité*, a po słowiańsku: „Braterstwo” Panie zapomniały trzeciego słowa francuskiej dewizy. Zachowam tę poduszkę na pamiątkę; jako talizman.

— Będzie ją pan woził po biwakach.

— Naturalnie... Wszak nasi towarzysze podróży, Burowie, wożą ze sobą pościel materace i przyrządy do gotowania, a nawet kojce z kurami.

Rozmawialibyśmy dłużej na temat owej poduszki, lecz przerwał nam Bur niemłody, wysokiego wzrostu, który wszedł do naszego przedziału. Nie mówiąc, usiadł na miejscu Daszkowa, położywszy pod siebie jego poduszkę i usnął natychmiast,

Ten stary *burgher* miał dwieście nabojów w kartażownicach przewieszonych przez ramię i sto dwadzieścia w różnych kieszonkach. Jego bezceremonialność zdziwiła nas trochę, ale właściciel poduszki był zadowolony.

— Wszak przybyłem tu — mówił — aby w razie potrzeby oddać życie za niepodległość tych zuchów, a miałbym temu sędz wemu starcowi odmawiać poduszki!

— Cóżby powiedziały panie z Nezińska, widząc swoje hafty pomiędzy poduszkami wagonu a wytłuszczonemi spodniami starego Bura?

— W Nezińsku obnoszonoby go w tryumfie. jako bohatera.

Po wielkich trudnościach udało mi się wreszcie osiodłać mego konia i przytroczyć do siodła sakwy i manierkę.

Jako piechur, byłem źle przygotowany do mojej roli konnego ochotnika. Z pewną obawą dosiadłem wierchowca. Na szczęście był spokojny, spuścił głowę jakby ze wstydu i żalu, że uusi dźwigać takiego kawał walerzystę.

Wymachiwałem rękami i nogami, aby popędzić rumaka i złączyć się z towarzyszami.

Trzymałem cugle w prawem ręku, lewem chwyciłem kulbaki. Mój wierchowiec biegł jak chciał, to truchtem, to galopem.

Dopędziłem jednak towarzyszków; z wielką znajomością rzeczy, jak na huzarów przystało, wytłómaczyli mi, jak mam trzymać cugle, jak nogi i jak się poruszać na siodle.

Te wszystkie teoretyczne wskazówki nie polepszyły na razie mego losu. Gdyśmy stanęli dla wypoczynku, złączył się z nami oddział konnyah Burów.

— *Goeden morgen! Goeden morgen!* — powitali nas grzecznie. Jeden z nich, młodzieniec o twarzy sympatycznej, widząc moje przykre położenie, zbliżył się i skinął, abym zeskoczył z konia. Osiodłał go nanowo i przytwardził strzemiona.

— *All right!* — rzekł, załatwiwszy się z tem w mgnieniu oka. Słyszając, że chcemy się widzieć z generałem Joubert, wskazał nam pagórek, na którym znajdował się *hoofd-lager*, czyli główna kwatera dwóch armij połączonych.

Gorąco było okropne, pot występował nam na czoła i twarz, a mieszając się z pyłem, tworzył błoto. Nasze manierki były puste, dokoła ani jednego drze-

Nazajutrz, po dwóch godzinach podróży, przybyliśmy do Modder-Spruit. Zabudowania stacyjne znikły prawie za stosami skrzyń, beczek z mąką, z ryżem, solą i rozmaitymi produktami. Nadjeżdżały wciąż olbrzymie furgony z towarami; ryk wołów i mułów łączył się z nawoływaniem furmanów i klaskaniem z biczą. Niewolnicy kafryjscy brali na plecy worki z paszą i produktami i ładowali je na furgony pod okiem Burów, palących fajeczki.

Niełatwo nam przyszło wyprowadzić z wagonów nasze konie, zmęczone dwugodziną podróżą; korzystając z pierwszego worka, który nam wpadł w ręce, uraczyliśmy ich sianem i kukurydzą.

Grupa kilkunastu Burów, siedzących dokoła ogniska, wzbudziło naszą zazdrość. Pili czarną kawę w dużych filiżankach, młody Kafr w kurtce angielskiego żołnierza smażył im mięso, przekładane cebulą.

Byłem okropnie głodny, więc odważyłem się przystąpić do poważnego mężczyzny w niebieskich okularach i w żargonie anglo-niemiecko-holenderskim rzekłem mu, że wyczerpały nam się prowizye i że go prosimy, aby nam wskazał, gdzie możemy dostać pożywienie i gdzie jest generał Joubert. Bur, wskazał nam palcem na prawo;

— *Daar is de kommissaar, daar is de hoofdlager!*

— Nie chcąc tracić czasu na próżno, postanowiliśmy osiodłać konia i wyruszyć w drogę natychmiast. Obóz musiał być w pobliżu; przez lornetki można było dostrzedz białe namioty, rozrzucone na górskim stoku; dzień zapowiadał się gorący, należało zatem korzystać z nocnego chłodu.

wa, ani krzaku, pod którym możnaby znaleźć cień pożądaną.

Od czasu do czasu spotykaliśmy wyschłe łożysko strumienia, lub sadzawkę, wezbraną od zaścielających ją trupów koni i wołów, nad którymi unosiły się sepy.

Nagle zabrzmiał huk armatni, po chwili drugi, trzeci. Pośpieszyliśmy naprzód, zapominając o zmęczeniu i głodzie. Tam, za temi górami, dywizya Whita była zamknięta w Ladysmith.

Na dolinie, zroszonej małą rzeczką, białły namioty obozu, Pomiędzy nimi stały furgony, naładowane workami kukurydzy i sucharów. Ziemia usiana była pustemi blaszankami od konserwów.

Kafrowie, siedząc na piętach dokoła ognisk kuchennych, wylizywali rondle. Brodaci, ogorzali Burowie, wychodzili przed namioty i przyglądali nam się z sennemi twarzami.

Łatwo było odszukać namiot generała Jouberta: na małym placu, pośrodku obozu, stał pawilon z zielonego płótna, powiewała na nim flaga czterobarwna. Głównodowodzący wojskami Transwalu i Oranii, Piet Joubert, siedział przy stole zarzuconym papierami.

Weszliśmy wszyscy pięciu pod namiot. Nie bez wzruszenia głos zabrałem i w przemowie, ułożonej z góry, wyluszczyłem, że pragniemy wejść do oddziału, operującego nad Tugelą.

Joubert podniósł głowę, włożył okulary i przyglądał nam się bacznie. Spytał, z kąd przybywamy i dlaczego nie chcemy stać pod Ladysmith.

Odpowiedzieliśmy mu, że blokada nie budzi w nas żadnego zainteresowania, a po niefortunnej próbie z dnia



18-go stycznia sądzimy, że Burowie nie zdecydują się na nowy atak.

— *Kommer om den manshapen!*¹⁾ — odpowiedział z westchnieniem.

Podczas gdy pisał list polecający nas generałowi Łukaszowi Meyerowi, mogłem przyjrzeć się namiotowi, przygotowanemu widocznie do rady wojennej.

Dziesięć krzeseł dokoła stołu, telefon umieszczony na słupie — oto i całe umeblowanie. Pomiedzy papierami dostrzegłem plan Natalu, raporty *veld-cornet*ów, wypisane ołówkiem na małych arkusikach, kilka numerów „Cape Times” i „Volkstem,” dziennika, wydawanego w Pretoryi.

— *All om den besten!*²⁾ — życzył Joubert, oddając nam list i żegnając uściskiem ręki.

Audyencya była skończona.

— A to mi sztab główny! Bez oficerów ordynansowych, bez adjutantów! Co za spartańska prostota! — zawołali jednocześnie prawie Nakoskin i Daszkow.

Przyłączył się do nas ochotnik niemiecki. Sześć godzin marszu dzieliło nas od Tugeli; postanowiliśmy zanoć w obozie niemieckim, znajdującym się na pół drogi. Mielśmy połączyć się tam z jednym Francuzem.

Po drodze do obozu, leżącego na południo-zachód od Plat-Randa, przypominałem sobie powieści Mayne-Reida i jego opisy życia pierwszych osiedleńców afrykańskich.

Mijaliśmy gęste krzaki mimozy, najeżonej kolcami, o listkach cieniutkich i lekkich, jak piórko, Kopy-

¹⁾ Biedne wojska!

²⁾ Ohy wszystko wyszło na najlepsze!

ta końskie dudniły po suchej i twardej ziemi, lub wgłębiały się w murawie, upstrzonej ponsowemi i białemi geraniami.

Przepiórki i inne jakieś ptactwo o dużych dziobach i świetnem upierzeniu, pierzchało na nasz widok. Gdzie niegdzie ukazywał się wielbłąd, lecz wystraszony, chował się między mimozy,

Wązka i stroma ścieżka, prowadziła na szczyt góry; nagle przed naszymi oczyma otworzyła się dolina Cleeper-River, a w dali zamajaczyło oblegane Lady-smith.

Dokoła miasta szanice; tak zwane „Kopje,” za któremi szukała osłony dywizya White’a. Na wzgórzu Pepworth Hill, Burowie ustawili armatę „Long Tom,” z przeciwległego wzgórza Iszimbulwana drugie działo bombardowało angielskie okopy; na Lombardskop stały dwie armaty polowe i moździerz dużego kalibru.

Nasz przewodnik opowiadał nam epizody wojenne, które się rozegrały na tych wzgórzach.

Wzgórza opasują miasto, leżące w głębi kotliny; na tych wzgórzach, to pojedynczych, to tworzących pasma nieprzerwane, Burowie ustawili trzy armaty 155 mm. i dwa moździerze o kalibrze 120 mm. Pozostała artylerya i armaty polowe 75 mm. systemu Kruppa, armaty górskie, zdobyte na Anglikach w dniu 11-y listopada 1899 r. i kilka armat szybkostrzelnych typu Maksym Nordenfeld; te działa nie mogły im oddać żadnej przysługi przy bombardowaniu, tak ze względu na odległość pozycyji angielskich od burskich, wynoszącą przeciętnie trzy do czterech kilometrów, jak i ze względu na wyższość angielskiej artyleryi.

White rozporządzał dwiema armatami okrętowemi 120 mm., sześciu armatami 76 mm. i sześciu bateriami

polowemi, nadto każdy pułk piechoty lub jazdy był zaopatrzony w armatę szybkostrzelną.

Wreszcie Burowie, pomimo zręczności swoich artylerzystów, oraz potężnego kalibru dział, mieli kule, wyrabiane na miejscu,¹⁾ które wybuchały w stosunku 50 — 60 na sto.

Załoga angielska pobudowała dla siebie osłony przy pomocy skał, kolejowych szyn i trawersów; ludność ze swej strony wykopała sobie schronienia podziemne; te środki ostrożności zmniejszały skuteczność bombardowania.

Przestrzeń linii obronnej wynosiła 22 kilometry, a że załoga składała się z 10,000, zatem jeden karabin przypadał na dwa metry przestrzeni. Pomimo tak małej zwartości obrońców, zdołali odpiierać częściowe ataki, przypuszczone przez różne *commandos* i szturm z d. 18 stycznia 1900 r., w którym brały udział znaczne siły.

Prezydent Krüger — powtarzam wciąż słowa mojego przewodnika — niepokoił się przygotowaniami, czynionymi przez Anglików, to też rozkazał Joubertowi załatwić się jaknajprędzej z Ladysmith.

Stary Joubert zgromadził wszystkich generałów i komendantów oddziałów i objawił im wolę prezydenta. Większość była przeciwna szturmowi; lecz Botha, zwycięzca z dnia 27 grudnia 1899 r. i Trichard, dowódca artylerii, sądzili, że można opanować Ladysmith za

¹⁾ Na początku wojny w r. 1892 istniała w Johannesburgu fabryka pyrotechniczna, wyrabiająca dziennie od 250 — do 400 kul. W kwietniu 1899 r. agenci angielscy wysadzili tę fabrykę w powietrze.

pomocą szturm. Poparli ten pogląd Burowie orańscy, zmęczeni trzymiesięcznym obleganiem miasta.

Na radzie wojennej postanowiono zatem przypuścić szturm; lecz dowódcy musieli jeszcze zwołać na radę *veld-cornetów*: poruczono im skłonić do tego żołnierzy.

Szturm nie uśmiechał się wcale pocziwym *burgherom*; 18-go, skoro świt, zebrano się zaledwie kilka *commandos*, pomiędzy niemi wszystkie orańskie, nie mieli więcej jak 500 ludzi. Ze zwinnością Zulów zakradli się do kotliny, oddzielającej pozycje burskie od wzgórza Besters-Hill i Wagon-hill, wtargnęli niespodziewanie na małe posterunki angielskie i dotarli do armat okrętowych; lecz *Garden-highlanderzy* przybyli na odsiecz i wzięli śmiałych napastników na bagnety.

Burowie orańscy, wystawieni na pociski artylerii ze wzgórz Cesar-hill, niepodtrzymani przez swoje oddziały, cofnęli się, unosząc poległych i rannych.

Artyleria angielska zdołała sama odeprzeć atak, na innych punktach, wszystkie rezerwy mogły być zwrócone przeciw szturmującym.

Wedle sprawozdań urzędowych, Burowie mieli 150 rannych i poległych, lecz w istocie daleko więcej: Krüger umie nie tylko zagrzewać rodaków do boju, kazańmi i opowiadaniem proroczych widzeń; potrafi także zamilczeć o faktach, które mogłyby osłabić ducha.

Następnie Burowie postanowili zagrozić Klip-River; użyli kilku tysięcy Kafrów dla zbudowania tamy przy stacji Nelthorpe. Ale inżynier holenderski, prowadzący roboty, brał miarę ze spokojnych wód swego nizinnego kraju, nie znając siły potoków górskich Transwału. Mój przewodnik dowodził, że pierwszy deszcz zniszczy owe tamy.

Wśród tych opowiadań przybyliśmy do brodo Klip-River i mogliśmy sami ocenić nietrwałość tamy, choć już oddawna deszcz nie padał, a głębokość wody wynosiła zaledwie półtora metra.

Jeden z naszych, uniesiony prądem, wpadł w wodną otchłań wraz ze swoim koniem i byłby w niej zginął, gdyby nie zjawili się Burowie, którzy wyłowili konia i jeźdźca.

Trochę dalej spotkaliśmy Katra, owiniętego w kołdrę flanelową z bransoletkami u rąk i nóg. Nasz Niemiec uważał sobie za obowiązek przetrząsnąć go należycie.

— Dlaczego pan to robisz? — spytałem. — Czyżby Anglicy używali Kafrów jako szpiegów?

— Naturalnie — odparł. — Kilka dni temu schwytaliśmy jednego, nawpół idyotę; opierał się na kiju wydrążonym; w tym kiju znaleźliśmy dokładny plan naszych obozów, szańców i bateryj. Jedyna pomyłka była zawarta w *post-scriptum*; donoszono w nim, że druciane przeszkody, broniące naszych szańców, były zaopatrzone w dzwoneczki. Naturalnie ta informacja była fałszywa. A należy dodać, że owe druciane przeszkody zostały wzniesione dopiero na dzień przedtem. Dzięki tym brunatnym dyabłom, nienasyconym angielskiego złota, pomimo naszych *brandwacht*, Buller i White mogą się porozumiewać stale. Zresztą i my używamy Kafrów w razie potrzeby...

Pociągnął parę razy z fajeczki, okopcił sobie płuca i mówił dalej:

— Przebywam tu od lat ośmiu i znam dobrze Kafrów; wiem, że spodziewają się wielkich zmian po tej wojnie. Na początku kampanii, ich starszyzna, po-

tomkowie dawnych Murzynów i arcykapłanów, zgromadziła się w niedostępnej dolinie Drakensbergu, aby na ofiarę fetyszom złożyć wołu czerwonego, wołu białego i czarnego. Wszystkie trzy zostały zabite jednocześnie. Pierwszy padł woł czerwony, potem biały; czarny walczył najdłużej ze śmiercią,

Kafrowie wyprowadzili ztąd wnioszek, że Burowie zwyciężą Anglików, ludzi czerwonych — lecz że następnie rasa czarna bunt podniesie i że Kafrowie, Zulowie, Basutowie, Swazisowie i t. p. wyzwolą się z pod obcego jarzma.

Cwałowaliśmy dalej, chcąc przed nocą dojechać do niemieckiego obozu. Lecz w obcych krajach ciemność następuje bezpośrednio po dniu białym; zaledwie słońce zniknęło za widnokręgiem, już Krzyż Południowy zabłysnął na ciemnym lazurze nieba, ziemię ogarnął mrok zupełny.

Zsiedliśmy z koni i prowadziliśmy je za cugle, potykaaliśmy się o kamienie; mimozy drapały nam twarze i ręce, zdołaliśmy jednak wspiąć się na szczyt góry, z kąd już było widać światelka ognisk.

— Jeszcze pół godziny drogi — zachęcał nas Niemiec.

Miałem plecy potłuczone od karabinu Martini-Henry. Mój koń ledwie się włókł. Dotarliśmy jednak do obozu.

Zaprowadzono nas wprost pod namiot komendanta Krantza, Niemca rodem, ale osiadłego w Transwalu od lat dziesięciu; dzięki swej sławie myśliwskiej (zabił 68 lwów) zawdzięczał, iż został wybrany dowódcą ochotników niemieckich.

— Przedstawię panów mojej żonie — mówił — Położyła 46 lwów trupem własnoręcznie.

Opowiadając nam o swoich łowach, częstował kottletami i plackami, i jedne i drugie były mocno przyproszone popiołem. Przeskakując z przedmiotu na przedmiot, opowiadał nam o swoim udziale w szturmie z dnia 18-go stycznia, o swoim projekcie taty, o zamiarze przypuszczenia nowego ataku do Ladysmith z pięciuset ludźmi za ledwie.

Słuchaliśmy go uważnie, popijając kawę i zając kottlety.

Wiść o naszym przybyciu rozszła się lotem strzały po obozie. Pod namiot cisnęli się porucznicy pruscy i rotmistrze austriacy. Krantz zapoznał nas z kapitanem głównego sztabu szwedzkiego i z doktorem Ziegel z Dorpatu.

Ten ostatni z kędzierzawą bródką *à la* Henri IV, w kapeluszu ze strusimi piórami, był podobniejszym do Dumasowskiego muszkietera, niż do spokojnego Eskulapa. Zapominał dla karabinu o sondzie i lancie.

Zaprosił nas pod swój namiot rosyjski oficer saperów. Należał do kompanii, stojącej załogą w Odesie. Korzystając z półrocznego urlopu, przybył pod Ladysmith, aby studyować oblężenie ze stanowiska technicznego.

Rzeczywistość nie odpowiadała jego oczekiwaniom. Oburzał się na nieudolność i bezczynność Burów. Był niezadowolony, że wszedł do niemieckiego oddziału.

— Połowa oficerów. których panowie poznaliście, to awanturnicy, zwabieni żądzą łupu lub zmuszeni ukrywać się przed sprawiedliwością swoich rodzinnych krajów. Sam Krantz jest tchórzem, intrygantem i kłamcą. Nie odwołano go dotychczas z zajmowanego sta-

nowiska, bo ma piękną żonę. Ta dama strzela i jeździ konna lepiej od niego. Przybywa często do obozu, przywozi koniak, whisky i wyprawia lukulusowe uczty.

— Zostaję tu stanowczo! — zawołał Ripert. — Niechże się tylko dowiem, kiedy pani Krantz przyjedzie?

Zanocowaliśmy pod namiotem saperskim. Nazajutrz niełatwo nam przyszło odnaleźć nasze konie, które zmieszały się ze stadem. Wyruszyliśmy dalej bez przewodnika, dążąc do celu podróży.

Droga wiała się po górskim stoku; spotykaliśmy Burów, którzy pozdrawiali nas wesoło i objaśniali, gdzie i kiedy możemy złączyć się z generałem Meyerem.

Z oddali dochodził huk armatni. Droga była usłana odłamkami bomb i szrapnelami; w niektórych miejscach zorały ziemię, wygrzebuując kilkometrowe dziury, co świadczyło o sile wybuchowej lydditu.

— Panowie, jeżeli zginę od takiej kuli — mówił pogromca serc Ripert — napiszcie do mojej kochanki. Zostawię wam adres.

Nakoskir proponował, abyśmy dali sobie wzajem adresy naszych rodziców.

Zatrzymaliśmy konie. Jeden dyktował, drudzy pisali; powtarzało się to po kolei. Nad głowami naszymi krążyły sępy i kruki...

*
*
*

Łukasz Meyer przyjął nas pod swoim namiotem — rozpostartym na północnym stoku Grobler-Cloof.

— Czy przyjechaliście tu, panowie, bawić się w wojaczkę, czy pracować poważnie? — spytał obcasowo.

— Pod pańskimi rozkazami zabawa byłaby niebezpieczna — odparłem.

Łukasz Meyer, zadowolony widocznie z odpowiedzi, zaprosił nas do stołu i poczęstował obiadem, godnym generałów: kotlety baranie z ryżem, śliwki suszone, suche ciastka, *whisky* i kawa.

Jego adjutant Kock, był doktorem praw uniwersytetów w Leyd i Oksfordzie, znał język angielski nie gorzej od holenderskiego. Potępiał Jouberta, nie przyznając mu żadnych zdolności wojskowych, nielepszy sąd wyrażał o Cronjem.

— Zresztą przekonacie się sami — mówił — a teraz jedzcie i pijcie, bo nie prędko zdarzy wam się uczta podobna.

Jego brat i ojciec zostali zabici pod Elandslaagte, on sam walczył przeciw hufcom Jamesona i zdobył piękny karabin na tym awanturniku - dentyście i flibustyerze w jednej osobie.

Tłómaczył nam organizację komend na skrzydle armii burskiej; pokazywał raporty dzienne i sprawozdania, przesyłane przez *veld-cornetów*, następnie zaprowadził nas do stacyi telefonu i heliografii — przyrządów, służących do przesyłania rozkazów.

* * *

Heliograf i telefon powtarzały w chwili tej ważne wieści: było to na początku lutego 1900 r. Sieć elektryczna i optyczna, ciągnęła się wzdłuż frontu, czyli na przestrzeni trzydziestu kilometrów co najmniej. Przy jej pomocy przesyłano objaśnienia i wskazówki, nadchodzące z *brandwachtów* i uwiadamyano główną kwaterę o poruszeniach generała Bullera nad Tugelą. Naprzód

u marszu forpocztów, następnie konnej piechoty Dundonalda, idącej doliną Veuter-Spruit, wreszcie o usiłowaniach Warrena dotarcia do szczytu Taba-Niama.

Podtrzymany przez 5-tą dywizję, którą mu Warren przyprowadził, Buller chciał widocznie zwrócić główny atak przeciw prawemu skrzydłu Burów i wyprzeć ich z silnych pozycyj na Spionkop i Taba-Niama. Ten zamiar, gdyby się udał, mógł przeciąć Burom orańskim, to jest połowie wojska Jouberta, odwrót ku Drakenbergowi.

Był to manewr *à la* Fryderyk II. Ten wielki strateg wojny siedmioletniej dokonał go pod Zorndorfem, defilując przed frontem Rosyan i atakując ich śmiało na flanku. Rezultatem było, jak wiadomo, świetne zwycięstwo Fryderyka. Ale pomiędzy sir Redversem Bullerem, a królem Fryderykiem II istniała taka sama różnica, jak pomiędzy poligonami spokojnego obozu w Aldershot, a górami, ze szczytu których *burgherowie* zwracali ku napastnikom ogień morderczy.

Buller, widząc, że rozbito jego linię odwrotu, dla wyjścia z trudnego położenia, postanowił przypuścić atak do frontu.

— *Go on, fellows!* — zawołali oficerowie do swoich żołnierzy.

Przez trzy dni biedacy wspinali się po stromych stokach Taba-Niama; lecz ani salwy artylerji, ani ponawiane ataki piechoty, ani grad bomb lyditowych nie zdołały wypłoszyć Burów z po za szanców, utworzonych przez naturę.

Rozmawialiśmy o tem wszystkiem z adjutantem Kock, gdy na odległym szczycie zabłysło światło heliografu.

Te błyski, to krótsze, to dłuższe, stanowiące litery alfabetu Morsa — ułożyły się wreszcie w zdanie, które nam przetłómaczył urzędnik:

Dowódca artylerii Hirschport prosił, aby mu przysłać kilka armat na górę Brokfontein, do obozu, zajętego przez oddział z Johannesburga.

— Odpowiedz pan, żeśmy już posłali dziś rano jedną armatę Maxima i jedną Kruppa — mówił Kock.

Heliografy, używane przez Burów, składają się z małego lusterka, osadzonego na trójnogu; to lusterko porusza dźwignia, kierowana przez manipulator w rodzaju Morsowskiego.

Przy jasnej i słonecznej pogodzie, wprawny heliografista może przesłać czterdzieści do pięćdziesięciu słów na godzinę.

Język angielski, dzięki swoim monosylabom i skróceniom, pozwala na większą jeszcze szybkość. W kampanii afgańskiej w roku 1880, lord Roberts, idąc na oswobodzenie Kandaharu, na górach Robat, z odległości 75 kilometrów, otrzymał depeszę z tego miasta. Zawierała 252 słowa; przesłanie jej trwało cztery godziny.

W ten sam sposób Buller porozumiewa się dziś z Whitem i telegramami, pełnymi obietnic, podtrzymuje ducha w załodze Ladysmithu, wyczerpanej chorobami i głodem.

Tymczasem należało nam wybrać oddział, do którego mieliśmy się przyłączyć.

— Ogień najzaciętszy nż prawem skrzydło — mówił Kock. — Tam nikt się wami nie zajmie, znajdziecie się odrazu w nieznanych warunkach. Radzę wam przyłączyć się do oddziałów z okręgu Krugersdorp, pod

Colenso; spróbują zapewne dywersyi w kierunku Chiveley, a sądząc, że marsz zaczepny przypada wam bardziej do smaku, od ciągłych postojów za skałami, pod gradem kul i kartaczów. Ale oto i *veld-cornet*.

Da namiotu zbliżało się kilkunastu jeźdźców, ciągnących za sobą Kafra. Wysoki burgher z białą brodą, zeskoczył zwinnie z konia i wymachując rękoma opowiadał coś generałowi i wskazywał palcem Kafra.

— To szpieg, wyprawiony z Ladysmith — objaśnił nas Kock.

Murzyn przewracał oczyma ze strachu. Z pod okrywających go łachmanów przezierало ciało silne i muskularne. Twarz bladła ze strachu i nabierała tej samej barwy, co dłonie. Kafr trząsł się, jak w febrze i na pytania odpowiadał głosem gardłowym.

— *Baas! Baas!*¹⁾

— Masz przy sobie papiery? — zawołał *veld-cornet*, kopiąc go w brzuch.

Kafr jęknął, ale nie odparł.

— Czyście go obszukali, jak należy? — spytał Kock.

— Znaleźliśmy go w *kraalu*; właśnie się na noc układał. Przetrzęsaliśmy go na wszystkie strony: nie miał przy sobie nic, oprócz kija. Ale to szpieg, niewątpliwie. No, dalej, *god dam*, przyznaj się — wołał *veld-cornet*.

Cheąc go wymowniej przekonać, uderzył go kijem po głowie.

Kij złamał się, a z wełnistych włosów spadł papier, zwinięty w rurkę. Kock pokazywał go w tryum-

¹⁾ Panie! Panie!

fie. Był to plan, narysowany bardzo dokładnie, a przedstawiający dwie ufortyfikowane pozycje Burów: Eud-hill i Langer-hill; wskazana tam była każda armata burska i miejsca, najeżone siecią drutów.

— Nie pierwszy to raz chwytny tych zdrajców, niosących Anglikom dokładne wiadomości o naszych pozycjach — mówił Kock. — Te łotry za garść złota, utrzymują komunikację pocztową między Whitem a Bullerem. Trzeba go rozstrzelać!

— Kara śmierci w republice! — oponował Daszkow.

Murzyn stał z oczyma wytrzeszczonemi. zahypnotyzowany błyskiem lufy. Uginały się pod nim kolana, ręce drżały, twarz z żółtej stała się prawie białą.

— *Baas! Baas!* — jęknął.

W powietrzu rozległ się huk wystrzału, konie zastrzygły uszami, ale znowu łby opuściły i skubały dalej trawę.

O parę kroków od nas leżał Kafr, ugodzony kulą w czoło, i grzebał nogami ziemię. Z wewnętrznej czupryny wysiadała krew z mózgiem. Wszyscy trzej byliśmy wstrząśnięci tym widokiem.

— Jeśli chcecie wyruszyć w drogę — rzekł — to was *veld-cornet* poprowadzi. A gdybyście się nudzili w obozie, przyjeżdżajcie tu do mnie. Otrzymuję dzienniki — dodał uprzejmie.

— A nie każesz pan już strzelać do tych biednych Murzynów? — rzekł Nakoskin.

Adjutant nachmurzył się.

— Anglicy zabili mi ojca i dwóch braci — rzekł — a ja miałbym się litować nad tem czarnem plugastwem, które oni przekupują garścią złota?

*

*

*

Dogoniliśmy pluton Burów, pędzących do obozu. Musieliśmy przejeżdżać przez nasyp kolejowy, najeżony siatką drucianą.

Przed naszymi oczyma roztaczała się zielona dolina Tugeli, poryta kulami, usiana trupami koni. Pędziliśmy galopem, uciekając od cuchnących wyziewów.

Na stoku małego pagórka, za liniami okopów, ukazały się nam namioty oddziału Krugersdorpa; rozsiodłaliśmy konie. *Veld-cornet* zaprowadził nas przed komendanta Van-Veyk.

Oczigodny starzec o herkulesowej budowie, przemówił do nas serdecznie, dziękując, że przybywamy z tak daleka, aby walczyć za wolność i sprawiedliwość.

— Będziecie spełniali taką samą służbę, jak burgherowie — mówił — otrzymacie taką samą żywność.

Ścisnął nasze ręce po kolei i zapraszał na noc. Tymczasem oddał nas pod opiekę ochotników, znajdujących się pod jego dowództwem.

Było ich ze dwudziestu. Wszyscy przyjęli nas serdecznie i zajęli się nami gościnnie. Uwiązali nasze konie do obręczy w biwaku, dali im siana, a nas poczęstowali naleśnikami i kawą bez cukru — nie mieli już cukru od tygodnia.

Wszczęła się ożywiona rozmowa z oficerami węgierskich honwedów. Podobał nam się zwłaszcza bar-Luchiński, były huzar austriacki, weteran kampanii bośniackiej z r. 1880 — 1881.

Nasz przewodnik Niemiec, znalazł też paru rodaków pomiędzy oficerami i podoficerami,

Pozналиśmy także Szwajcara z Genewy, młodego studenta, o dziecinnej twarzyczce, który przybył „w obronie praw człowieka.” Dalej dwóch braci ze Styryi

i porucznika bułgarskiego Busukowa. Ten ostatni opowiadał nam o walecznych czynach pewnego herszta zbójów i o walkach, które stoczył w jego bandzie z tureckimi żandarmami. Bandyci zostali pokonani, a on sam skazany na śmierć. Uciekł szczęśliwie do Odesy, z kąd wyruszył do Afryki Południowej,

— *Habe die Ehre* — odezwał się dyszkancik nowo-przybyłego porucznika Wagnera z baterii konnej artylerii bawarskiej.

Przedstawiliśmy się sobie wzajem. Byliśmy trochę zdziwieni widokiem tej nowej figury.

Jakim sposobem czcigodny artylerzysta przeniesiony został z piwiarni monachijskich pod słońce Transwalu?

Brudna kurtka zwieszała się na jego chudym ciele, szerokie skrzydła kapelusza osłaniały czaszkę szpiczastą i krótko strzyżone włosy. Czuł się nieswój wśród tych dzielnych i rośliwych żołnierzy, co go czyniło jeszcze niezgrabniejszym i brzydszym.

Pojawienie się „rycerza o smutnym obliczu,” wznieciło ogólną wesołość.

— *Herr Wagner! Herr Wagner!* — wołano zewsząd. — Czy znalazłeś swoją Rossynantę? Czyś już nareszcie przedstawił prezydentowi Krügerowi swój raport o zmianie taktyki Burów? Jakże z pańskim trawieniem? i t. d., i t. d.

Mrugał oczyma, blizki był płaczu i nie wiadomo dlaczego mówił po francusku:

— *Vous-vous moquez de moi!*

Silny napad kaszlu nie pozwoił mu bronić się skuteczniej. Wstał i szedł ku drzwiom, potykał się co

krok o siodła, strzemiona, przewracał imbryki i flizanki. Nowe wybuchy śmiechu towarzyszyły jego odwrotowi. Tłusty *rittmester* węgierski aż się pokładał — a brzuch trząsł mu się, jak galareta.

Zrobiło mi się żal biednego *Herr Wagnera*: on jeden może wśród tych *landsknechtów*, żądnych krwi i złości, przybył tu ze szlachetniejszych pobudek.

Wyszedłem za nim i z rozkoszą wchłonałem świeży powiew, po duszącem i zadymionem powietrzu w namiocie.

Na tle skał odrzynała się ostro długa sylwetka bawarskiego artylerzysty. Usiadłem przy nim. W pierwszej chwili, nie wiedziałem od czego zacząć rozmowę.

— Czy nie jesteś pan krewnym słynnego kompozytora, twórcy arcydzieł muzyki? — spytałem wreszcie.

— *Vous-vous moquez!* — zawołał znowu.

Cheiał wstać, ale go zatrzymał. Począłem mówić o piwie bawarskiem, przezroczystem, jak bursztyn, o malowniczości Bawaryi, o jej górach, pokrytych drzewami, o tajemniczej śmierci Ludwika II, przyjaciela muz i protektora sztuki.

Wreszcie Wagner z westchnieniem głos zabrał słał Bawaryę, jej góry, lasy, kaskady i Monachium, najpiękniejsze miasto na świecie ze swoją Pinakoteką, swoimi kościołami gotyckimi i swoim wybornym piwem, słał Ludwika II, szlachetnego i genialnego monarchę. Zabili go zbirowie i poplecznicy Bismarcka, i oto teraz hegemonia Prus ciąży na Bawaryi.

On, Wagner, dymisjonowany już dziś porucznik, przebywał długo w Kalifornii, gdzie ma posiadłość.

Zaraz na początku wojny przybył do Transwalu, z zamiarem wstąpienia do artylerii, ale że nieokrzesani Burowie nie ustawiają armat w baterie, więc wstąpił do oddziału Krugersdorp... W sezonie deszczów, gdy biwakowano całymi tygodniami bez namiotów i ognisk, przeziębził się okropnie i teraz kaszle. Cieszył się z naszego przybycia — „bo ci Węgrzy, to istni Wandale.”

Mówił, jak najęty, nie ustając na chwilę. Zdrzemałem się, ukołysany dźwiękiem jego głosu i szmeru rzeki. Ciemne góry zdawały się być także we śnie pograżone. Z oddali doleciał huk armat.

Obudziłem się nagle.

— Jak pan sądzisz? — rzekłem — czy Burowie gotują się jutro do ataku?

— Spytaj pan o to *veld-cornetów* — rzekł. — My, ochotnicy, jesteśmy poprostu *brandwachta*. Każą nam stać na miejscu, jak pikiecie, gdy jutro na prawym flanku toczyć się będzie bitwa, w której rozstrzygną się może losy tej wojny.

Wszedłem pod duży namiot komendanta, okryty podwójnem płótnem. Przy świetle latarki Van Veyk odczytywał *veld-cornetom* telefoniczne polecenie Bothy, przesłane w chwili tej właśnie przez sztafetę z obozu Łukasza Meyera.

Botha, przewidując atak na dzień następny, prosił o natychmiastowe posiłki.

Komendant zwołał na radę *veld-cornetów*.

— Czy oddział nie zaraz wyrusza? — spytałem jednego z ochotników.

— Musi tu ktoś zostać — odparł. — Gdyby wszyscy *bargherowie* wyszli, w razie nieszczęścia na Bothę, nikt nie mógłby mu przyjść z pomocą.

Tymczasem jednak Van Veyk zdecydował wyprawić skoro świt oddział z trzydziestu do czterdziestu ludzi; a z pozostałymi bronić powierzonego sobie stanowiska.

Na moją prośbę odkomenderował i mnie na prawe skrzydło flanku.

Chciałem się bić, tutaj wyczekiwano — tam walka toczyła się w najlepsze.

Rad, że będę mógł powąchać prochu, położyłem się na gołej ziemi, owinałem kołdrą i oparłszy głowę o siodło, usnąłem.

Nagle słyszę tętent kopyt, głosy i kroki. Ktoś woła mi nad uchem:

— Czas już w drogę!

Zrywam się. Niebo ciemne. Ostry wiatr goni chmury. W bladym świetle widać zarys namiotów i sylwetki ludzi, krzątających się około koni. Chwilami przeziiera księżyc, oblewając obóz światłem widmowym.

— *Komm an! Komm an, kerls!* — woła *veld-cornet*, zagrzewając swoich ludzi do pośpiechu.

Gdyby nie uprzejma pomoc Bura, nigdybym nie zdołał odnaleźć mego wierzchowca, ani go osiodłać. W ostatniej chwili wyłoniła się chuda postać *Herr Wagnera*.

— Jadę z panem — oświadczył. — Wszyscy pańscy towarzysze wyruszyli z ochotnikami do *brandwachtu*. Pomóż mi pan odnaleźć mego konia. Bułany, z białą strzałką na czole.

— Bierz pan pierwszego lepszego — radził dostawca żydek, przybyły z Kowna. — Nikt pana pozywać nie

będzie. Zresztą pan już tutaj nie wróci. A radzę wam panowie, nie narażać się bardziej od Burów. Jeśli ukryją się za skałami, to i wy się chowajcie, jeśli się cofną, to i wy z nimi.

Prosiłem żydka, aby pożegnał odemnie moich dawnych towarzyszków podróży i puściłem się wraz z *Herr* Wagnerem za niknącymi już w oddali Burami.

Ścieżka zaledwie wytknięta, prowadziła przez gęste krzaki mimiozy, wśród skał i urwisk. W szarem, zamglonem świetle porannem, piętrzyły się i wylaniały jeden za drugim szczyty odległe. Potem niebo rozpo-
godziło się, wiatr ustał, brzask zmienił krople rosy w perły, brylanty i złoto.

Nasza kolumna rozwijała się wzdłuż drogi. Jeźdźcy to stawali, to się wyprzedzali wzajemnie. Orszak był bardzo różnorodny — można było w nim widzieć starych Burów z preryj, osłaniających parasolami twarze brodate, i młodzieńców bezwąsych na małych kucykach. Jedni prowadzili konie za cugle, inni kazali je prowadzić Kafrom, obciążonym ich karabinami, ładownicami, manierkami i workami, pełnymi prowizyj. Wszyscy byli wzburzeni: rozeszła się była wieść, że udało się Anglikom wśród nocy opanować szczyty Spionskopu.

— *Daar is de kak! agter de kopje!* — mówili, wskazując nam góry. Od czasu do czasu grzmiały działa, słychać było nieustanny, suchy odgłos karabinów, podobny do gradu, spadającego na dach blaszany.

Dotarliśmy przed płaskowzgórze Spionskop. Dymy unosiły się ku niebu od wystrzałów burskich. Odpowiadały na nie armaty angielskie po drugiej stronie Tugeli.

U stóp płaskowzgórza przejeżdżali jeźdźcy w pełnym galopie. Ujrzelśmy furgony Czerwonego Krzyża, zaprzężone po ośm i dziesięć par mułów.

Po pięciogodzinnym marszu stanęliśmy nareszcie na miejscu. Zatrzymaliśmy się w głębokim parowie, przytykającym do północnego grzbietu. Czekają tam kilkaset koni. Stały także wozy z amunicją, z których wydobywano skrzynie naboju. Szpitalnicy niemieccy krzatali się około rannych. Opodal dogorywał żołnierz, któremu kula przeszła wewnątrz. Inny w męczarniach konania trzępał nogami, jak ów szpieg kafryjski, którego rozstrzelano w naszej obecności.

* * *

Buller, ulegając namowom generała Warrena, zdecydował się atakować po nocy Spionskop. Już w wigilię, 4 lutego, rozpoczęły atak trzy pułki brygady Woodgata, dwa pułki brygady Coka i jeden oddział kolonialny konnej piechoty (*Thorneycroft's mounted infantry*). Krok w krok, zakradając się po za skałami, Anglicy posuwali się wzdłuż drogi wąską kolumną. Od podnóża do szczytu wyżyna ma nie więcej jak pięć kilometrów: musieli iść ośm godzin. Dzięki ciemnej nocy i gęstej mgie porannej, zdolali się zbliżyć niepostrzeżenie prawie do samego posterunku, ustawionego na najdalszej pozycji południowego płaskowzgórza.

Oświetlając sobie drogę przenośnymi projektorami i rakietami, ich kolumny, przeznaczone do szturmowania, rzuciły się z ogłuszającym okrzykiem: Hurra! Amadjoba! na trzydziestu ludzi grangardy¹⁾ i rozproszyli ich. Następnie zaś, nie myśląc nawet o zajęciu płaskowzgórza, które tworzyło trójkąt, oszańcowali się na południowym jego brzegu.

Tym sposobem tedy dwa drugie kąty płaskowzgórza, które tworzyło trójkąt, mianowicie północny

¹⁾ Oddział kawalerji, przeznaczony do pilnowania obozu.

i wschodni, pozostały w ręku Burów, którzy aczkolwiek było ich tylko dziewięćdziesięciu, od samego rana rozpoczęli morderczy ogień przeciwko Anglikom z dwóch armat szybkostrzelających, do których przyłączyły się dwa działa polowe 75 milimetrowe z góry Taba-Niama i dwa 37 milimetrowe działa Maxima, ze wzgórza, znajdującego się po lewej stronie Spionkopu.

Ze wszystkich stron zaczęli wynurzać się żołnierze, czy to pojedynczo, czy oddziałami; całe te siły, rozciągając się na jednej linii, utworzyły naokoło pozycji angielskiej nieprzerwany łańcuch tyralierów. Ogień krzyżowy artylerii burgherów, wobec którego artyleria angielska niczego zdziałać nie mogła, zwłaszcza zaś celne strzały karabinowe Burów rychło zupełnie zdeorganizowały Anglików, zajmujących teren ograniczony, nieco oszańcowany, miejscami zasłonięty odłamami skał. Tyralierzy Burów stopniowo, krok za krokiem, od skały do skały awansowali, a raczej doczołgali się aż na ośmdziesiąt do stu kroków od miejsc, zajętych przez bataliony Woodgate'a i na dystans taki strzelali do nich, jak do wróbli. Dwa bataliony brygady Lytteltona przybyły w sukurs, lecz żadnej pomocy nie przyniosły; w braku miejsca nie mogły się rozwinąć, ani zająć odpowiednich bitwie stanowisk, a dziesiątkowane strasznie przez ogień krzyżowy, psuły tylko szyki i powiększały powszechne zamieszanie. W końcu Woodgate sam został ciężko ranny, ludzie jego zaś zdemoralizowani gradem kul karabinowych i armatnich, który ich bez przerwy zasypywał, wyczerpani szalonym upałem, uciekali, co tchu starczyło; jedni, przeskakując przez pszańcowania, biegli ku Burom, poddając się, inni

zbiegając z gór, pociągali za sobą w szalonym pędzie oddziały, które im szły na pomoc.

Z nadejściem nocy pułkownik Thorneycroft, odbierając komendę, nakazał opuszczenie płaskowzgórza. Chwilowe, bardzo zresztą krótkie, zajęcie go kosztowało Anglików 10 oficerów i 780 żołnierzy.

Burowie od rana do nocy prowadzili ogień ożywiony, o czym następujące świadczą liczby; działa 75 mm. wystrzeliły każde po 300 — 480 nabojów, armaty zaś szybkostrzelające z Taba-Niama po 1000 sztuk.

Tak upłynął dzień. Co do wrażeń moich osobistych, przypominam sobie, że piliśmy wodę ze źródła, wytryskującego ze szczeliny skały, następnie nałożywszy do ładownic podwójny komplet nabojów i napełniwszy jeszcze kieszenie nabojami, drapaliśmy się po skałach. Czem bardziej zbliżaliśmy się do szczytu, tem gęściej i głośniej świstały nam nad głowami pociski armatnie, tem silniej uderzał o uszy nasze odgłos gradu kul; każdemu uderzeniu pocisku towarzyszyło coś jakby wycie odległe lub skarga głośnie, a równocześnie ze wszystkich stron gęsto spadały kępy ziemi, odłamy skał i kamienie.

Gdy doszedłem do najwyższego punktu doliny, opanowało mnie nagle przecucie blizkiej nieuniknionej śmierci; służba ambulansowa już się nie wahała naokoło nieszczęśliwych ofiar, które przed chwilą pielęgnowała, a wzrok mój padł najpierw na martwe ciała wyciągnięte na ziemi, następnie na Kafrów skulonych, których pozostawiono do strzeżenia koni. Możeby zostać z nimi — pomyślałem przez chwilę... I doprawdy sam nie wiem, jak dostałem się w obręb ognia, do tego odrębnego świata jakiegoś, w którym nieruchome

skały niby drżały i poruszały się od grzmotu salw i strzałów, padających ze wszystkich stron. Przedemną, obok mnie, u stóp moich, kule padały bez łoskotu, ryły się w ziemię, odskakiwały od kamieni. Nad głową moją łoskot, podobny do trzepotania się olbrzymiego ptaka, wzmagający się szelest lecącego pocisku... nagle olbrzymi wybuch ziemi, tuman kurzu mnie otacza, mam uczucie wstrząśnienia mózgu: to wybuch olbrzymiego pocisku lydditowego.

— Komm an, Kerls! — woła głos ochrypły.

Burowie się zrywają, już stoją w trawie, w okamgnieniu giną poza skałami poszarpanemi. Jakaś siła, której się oprzeć nie można i mnie pcha naprzód za nimi, idę, jak zahipnotyzowany, ogłuszony piekielnym wrzaskiem, oślepiiony promieniami słońca. Oto i grzebień góry, porośły kępami kosodrzewizny, na ziemi jakieś ciała nieforemne, to trupy żołnierzy angielskich.

Tymczasem Burowie znów zatrzymali się za skałami, jak skamieniali, jakby przyrośli do tych skał; umieją ukryć się przed strzałami nieprzyjacielskimi i spokojnie, z zimną krwią kładą karabin na ramię; czekają, jak sokół wypatrujący zdobyczy. aż się ukaze kask żółty i połysk bagneta. Tu i tam padają strzały odosobnione, błyszczy metalowa gilza naboju. Mnie ostry dym gazu z prochu dusi w gardle. Szrapnele padają ciągle na okopy angielskie, unoszący się z nich dym pokrywa niebo jakby krepą brudno-czerwoną. Anglicy oddaleni są od nas zaledwie o 100 — 150 kroków; wśród sylwetek żółtych, wyraźnie zauważyć można ruchy nieregularne, świadczące o zamieszaniu. Ja nie czuję w sobie nic krwiożerczości, nie znajduję się w „stanie epicznym”, tak ulubionym przez poetów, a pomimo to, pod wpływem jakiegoś zapалу, który wy-

wołuje to zabijanie się bez opamiętania, do dna wypróżniłem ładownicę swoją, wszystkie naboje wystrzelałem.

Wagner, nieśmiertelny artylerzysta konnej baterii bawarskiej, drapie się ku mnie, iście jak krab morski,

— Czy nie ma pan zapalki, ogromną mam ochotę zapalić cygaro.

Na brudnej jego twarzy plamy świeżej krwi pokrywają inne już zaschłe, ale taki na niej uśmiech spokojny, że ja na jego widok także odzyskuję równowagę i pytam go ze smutkiem:

— Panie Wagner, kiedyż to wszystko się skończy?

— Sądzę, że niedługo.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów jego, przed okopami ukazuje się jakaś płachta brudna, która widocznie ma przedstawiać białą chorągiew. Strzały ustają, a Burowie, leżący koło nas podnoszą się z radością.

— *Skitt not, kerls, Skitt not!* — wołają.¹⁾

Nagle rzekoma biała chorągiew przestaje powiewać, i na nowo rozpoczyna się ogień z podwójną zawziętością. Anglicy wychodzą masami z okopów i rzucają się ku nam; padają na ziemię; ale podnoszą się i biegną naprzód. Czyżby to była wycieczka z okopów i atak na bagnety? Nasze naboje prawie wyczerpane; bagnetów nie mamy. Burowie rozrzucony na całym wzgórzu, nie potrafiliby oprzeć się silniejszemu atakowi.

Ale Anglicy nie o ataku myślą. Rzucili broń i biegną ku nam z podniesionymi rękami, poddają się.

¹⁾ Nie strzelajcie przyjaciele, nie strzelajcie.

Jeden z nich, o miedzianym prawie kolorze twarzy, z rozognionemi oczyma, rzuca się ku mnie jak zwierzę dziki. Instynktownie przykładam karabin, ale on z dziwnym okrzykiem rzuca się na ziemię, zanurza twarz w jakiejś kałuży błota i konwulsyjnie pije dla zaspokojenia pragnienia, od którego już ginął.

Anglicy i Burowie, którzy zaledwie przed chwilą się mordowali z zawziętością ludożerców, łączą się w jedną gromadę; wszyscy z twarzami zadymionemi i krwawemi plamami pokrytemi, obryzgni wycieńczeni dwunastogodzinną bitwą, rzucają się razem ku wspólnej już teraz sadzawce, dzielą się ze sobą ostatnim sucharem.

Już wrzask bitwy ustał; na krwawy dzień zmrok zapada wśród ciszy ogólnej. Ale to nie owa cisza, która w przyrodzie po nagłej następuje burzy, — wtedy gdy chmury się rozchodzą, słońce nowym świeci blaskiem, a wszystko na świecie znowu odżyło i raduje się. Tu przeciwnie, tu zaległ spokój cmentarny; zdaje się, że cała przyroda z przerażenia się zmroziła, góry posępnieją, mgła wypełnia szczeliny skał, zapada na doliny i pokrywa przejrzystym całunem straszne polowisko, na którym się jeszcze nieszczęśliwe ofiary krwawego spotkania od śmierci kurczowemi ruchami bronią, lub złamani bólem o nią błagają.

Bitwa rozstrzygnięta, a świat dowie się jutro o nowym niepowodzeniu Anglików. Teraz dopiero czuję zmęczenie i odrazu taką ociężałość w całym ciele, że wyciągam się na ziemi tam gdzie stałem, kładąc sobie pod głowę pustą ładownicę i kapelusz, zapominam o głodzie i pragnieniu, o koniu moim, który pozostał od rana osiodłany tam na dole, po drugiej stronie góry. Ale nerwy moje po wstrząśnieniu, jakiego doznały pod

wpływem strasznych wrażeń dnia całego, nie mogą się uspokoić. Mam uczucie, jak gdyby głowę moją ścisnęły kleszcze rozpalone, ciągle słyszę odgłos strzałów, wrzask bitwy.. Rychło jednakże, pomimo twardego łoża, zmęczenie bierze górę nad gorączką, zasypiam snem głębokim, żadne sny mnie nie trapią,

Dopiero nad ranem budzę się, zdawało mi się, że bitwa na nowo wybucha, zrywam się, biorę karabin do ręki, słyszę strzały odległe.. Alarm fałszywy, Burowie śpią naokoło mnie, Anglicy zapewne nie rychło poprobują nowego ataku.

*

*

*

Bitwa pod Spionkopem przedstawia się jako tryumf taktyki ogniowej, używanej w boju przez Burów i stanowi wybitny przykład tej taktyki, Polega ona na zastosowaniu wyciągniętych linii tyralierów, stanowiących w tej formacji bardzo lichy cel dla rozwiniętej artylerii nieprzyjacielskiej, a zdolnych równocześnie do odparcia usiłowań takich, jakie Anglicy w zwartej kolumnie podjęli przeciwko centrum tej pozycji, albowiem, pomimo braku zwartości, linie tyralierskie działają skutecznie ogniem karabinowym i znakomitą stanowią podporę dla znajdujących się na ich skrzydłach dział szybkostrzelających.

Z drugiej strony wielkie rozproszenie się tyralierów na tym łańcuchu, zręczne użytkowanie terenu i brak wszelkich rezerw w obrębie ognia nieprzyjacielskiego, ogranicza do minimum straty, to też Burowie w morderczej bitwie koło Spionkopu; mieli tylko 35 zabitych i 78 rannych.

Jeżeli jednakże ich taktyka podczas bitwy zasługuje na wszelkie pochwały, to natomiast ich zachowanie się po bitwie, jest wprost naganne. Z bronią w ręku przypatrywali się najspokojniej jak brygady Harta i Hildyarda przed nimi defilowały, przechodząc napowrót przez Tugelę. Nie należy jednakże wobec tej nieczynności przypuszczać, iż Botha miał na myśli maksymę Napoleona: budujecie złote mosty nieprzyjacielowi, który przed wami się cofa; tłumaczy się ona raczej powszechnym upojeniem się skutkami bitwy i złudzeniem, że teraz rozpoczną się rokowania pokojowe i wojna może się zakończyć.

Anglicy jednak zadowolili się zawarciem krótkiego rozejmu w celu zebrania rannych i pochowania zabitych. Burgherowie skorzystali z tego, aby dziesięć procent swoich puścić na urlop dwutygodniowy. Osiedłali oni konie swoje, zebrali Kafrów i udali się do swoich ferm zacisznych, rozpowiadając wszędzie radosną wiadomość o ciosie ciężkim, zadany-m-znienawidzonemu wrogowi.

Buller zebrał wojska swoje na polu Spearman, wystosował do Jej Królewskiej Mości raport, z powszechnym wówczas u wszystkich generałów angielskich, stereotypowym frazesem na czele: *I have to regret...* (z wielkim żalem) oświadczał, że wbrew pragnieniom swoim, Warrenowi dał rozkaz atakowania Spionkopu, ale nie tłumaczył, dlaczego sam pozostał biernym widzem bitwy i dlaczego nie użył choć części wojsk świeżych, jakie miał pod ręką do ponownych ataków na prawem lub lewem skrzydle, natomiast sławił jako coś w rodzaju zwycięstwa cofanie się wojski „szczęśliwe przejście przez Tugelę.”

Nazajutrz po bitwie, d. 6 lutego jest zawieszenie broni. Po jednej i drugiej stronie widać białe sztandary; służba ambulansów angielskich, której towarzyszą ludzie z noszami, posuwa się miarowym krokiem po pochyłości Spionkopu. Burowie przechadzają się z uśmiechem zadowolenia po polu bitwy i starają się zawiązać rozmowę z ludźmi przy noszach. Ci ostatni mileczą, wyszukując ciała, które jeszcze dają znak życia.

Trzebaby mieć istotnie nerwy rzeźnika, aby patrzeć spokojnym okiem na pobojeństwo po bitwie; na samo jeszcze wspomnienie o tym widoku dreszcz mnie przechodzi w chwili, gdy to piszę. Anglicy ciężko ranieni, prawie umierający, zbili się w gromady, które wlokąc się już bezsilnie, po za skałami szukały schronienia przeciwko morderczym strzałom Burów. Czyż istotnie te skały bokształtne i nagie warte były tego, aby za nie poświęcać tylu ludzi młodych, tak dużo krwi przelewać? Krew ta wczoraj jeszcze żywym tętnem biła w żyłach i sercach młodych, dodawała im życia i ducha, dziś zaś rozlana w czarnych płatach na ziemi, na ciałach zabrudzonych i martwych, w kałużach zastygłych.

Widzę jeszcze przed oczyma młodego, tegiego mężczyznę, z wyciągniętymi rękami i nogami; na rękawach miał galony sierżanta; głowa jego widocznie uderzona odłamem pocisku armatniego, tworzy masę bezkształtną z krwi, mięsa, włosów i kości. Inny leży z oczyma otwartymi, z wyrazem zdziwienia na twarzy, jakby pytał: dlaczego? dlaczego to wszystko? Przysięgłbyś, że żyje, trzyma silnie karabin w ręku, a jednak jego towarzysze broni, zbierający rannych, już iskry życia w nim nie znaleźli.

Burowie postępują według praw zwycięzców, odbie-

rają karabiny, naczynia wszelkie; derki i mantelzaki, ładownice. Stary burgher spostrzega na nogach jakiegoś oficera wspaniałe buty; „*Schonen shoeisch*” (piękne buty), mrucząc zabiera się do ściągania ich; opierając się... pociągnął silniej i but z nogą zatrzymuje w ręku, noga postrzałem była prawie urwana; burgher zaklął i poszedł dalej szukać innej zdobyczy.

Inni rewidują kieszenie, zabierają zegarki, lornetki i t. p. Ktoś ze znajomych woła mnie: *Looke here* (spójrzyj!) Pokazuje mi medalion z aksamitu w złoto oprawnego, który znalazł na piersiach martwego ciała oficera; officer młody, blondyn. W medalionie portretik młodej kobiety, o pięknych, delikatnych rysach, za portretem czytamy napis: *Return happy, my Harry* (wracaj szczęśliwie mój Harry). Biedny Harry, martwe oczy jego już nie ujrzą ukochanej; nieszczęśliwa kobieta, która oczekując niecierpliwie wiadomości z odległej Afryki, przeglądając chciwie każdą wiadomość, nareszcie przeczyta nazwisko ukochanego na liście tych, którzy pod Spionkop zginęli, kładąc życie „za honor i sławę armii angielskiej.”

Wobec straszego zapachu, a jeszcze straszniejszego widoku ciał, które rozbierają i tych, które odnoszą, uciekam z pola bitwy. Wracam do miejsca, gdzie pozostawiłem konia, a idąc, myślę z żalem i współczuciem serdecznym o tylu kobietach, których serca, gardząc skromnym urzędniczkim, żywiej zabły na widok munduru ozdobnego i pięknych galonów oficera. Ileż serc takich bitwa pod Spionkopem pokryła żałobą!

* * *

Powróciwszy do obozu komendy Krugersdorp pod Colenso, pędziliśmy tam dni spokojniejsze. Na przekór

Anglikom, którzy wyrzucali na nas z dział swoich co dziennie dziesięć do dwudziestu pocisków, spokój nas nie opuszczał; zbieraliśmy odłamy pocisków i robiliśmy z nich ściany do naszych kuchni polnych, na których smażyliśmy wyborne kotlety i rostbefy.

Mięsa nam dawano obficie; jedna sztuka bydła lub kilkanaście owiec na każdy oddział. Nadto otrzymywaliśmy biały suchar, o przyjemnym smaku, ryż, sól, słoninę, herbatę cejlońską lub kawę. Niekiedy pomyślny rezultat polowań powiększał i urozmaicał *menu*. Dokładaliśmy też wszelkich starań, aby wszystko jaknajlepiej było przygotowane. Często dzieliliśmy się z Burami wytworami naszej sztuki kulinarnej, tem chętniej, że oni nas wyręczali w mozołnej i przykłej dla nas czynności bicia i ćwiartowania bydła, zachowując wtedy dla nas najlepsze kęski, jako to: polędwicę, ozór i t. p. Natomiast oni otrzymywali z ferm swoich, pocztą wojenną, rozmaite przysmaki, mianowicie ciasta, ptactwo, owoce i zawsze nas tem częstowali.

Przy sposobności uczt takich, szła gawęda o najrozmaitszych przedmiotach.

— Czy macie u siebie krowy? — pytali Burgherowie.

— Rozumie się — odpowiadaliśmy.

— A owce także?

— A jakże!

— Macie też koleje żelazne?

— Nawet dosyć ich dużo.

Najczęściej mówiło się o polityce, mianowicie o interwencji mocarstw obcych, na którą, prędzej czy później, ale stanowczo liczyli. Nie mogło im się poprostu pomieścić w głowie, aby ich walka o świętą sprawę domowego ogniska, nie znalazła sprzymierzeńców.

Nas smutne nieraz opanowywały myśli. Gdyby kula angielska położyła kres naszemu życiu w tych okolicach, daleko od kraju ojczystego, niktby nawet o tem nie wspomniał, wdowy i dzieci nasze nie miałyby praw żadnych do wsparcia. Jedni z ochotników przejęci byli ideą, za którą walczą, inni sceptyczni jedynie o bycie swoim myśleli. Nikt jednak wówczas nie wątpił o szczęśliwym zakończeniu kampanii. Widzieliśmy się wchodzących z zagiętym dumnie kapeluszem, do Durbanu, pędzących przed sobą tych obieżyświatów, wynalazców boksowania, pocisków lidditowych i kul dum-dum.

Wspomnieniom przeszłości i rozmyślaniom o przyszłości, wobec zajęć codziennych, zanadto oddawać się nie mogliśmy. Z kolei gotowaliśmy i robiliśmy herbatę. Ci, którzy nie mieszały w kotle, prali bieliznę w rzece pod mostem kolejowym, do połowy zburzonym, bo tam bądź co bądź, było się najpewniejszym od wybuchów pocisków armat angielskich. Wieczorem trzeba było z łak do obozu sprowadzać konie, wiązać je do drutów, wyciągniętych nad trawersami, które służyły pikietom. Stosownie do rad *rittmëistra* austriackiego, czyściłiśmy je wówczas i zbieraliśmy paszę dla nich.

Były jednak niedogodności, od których wprost życie się przykrzyło. Przedewszystkiem upał szalony, dalej zapach fatalny padliny i rozkładających się pozostałości pożywienia naszego, nareszcie roje much zjadliwych, od których ani nas nie uchronił ostry zapach tytoniu transwańskiego, ani cień namiotów, ani kąpiel w rzece.

Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach można wreszcie wpaść w apatyę, w jakąś osowiałość, prawie

bezprzymotną, drzemać chodząc i stojąc, a na dobre obudzić się dopiero wtedy, gdy nas w nocy na *brandwacht* wołają. A tam, na widok wielkich ogni w obozie angielskim, myśl ulatuje daleko w strony rodzinne i mimowoli nasuwa się pytanie: dlaczego było przybywać tu, w strony odległe, dla jakiejś idei fantastycznej. Zagłębiony pewnej nocy w dumanie, myślą wśród swoich, słyszę nagle stłumiony głos sąsiada:

— *Pass op! Pass op! daar kommt de Khaki!*¹⁾ — szepce do mnie Bur z sąsiedniej pikiety; podchodząc zupełnie blisko.

Jego słuch bystry odróżnił jakiś szelest. Ja zrywam się, przecieram oczy, aby jaknajdalej widzieć, przykładam karabin. Kładziemy się obydwoj na ziemię... czekamy kilka minut z zapartym oddechem, z początku słyszę jedynie szmer wody w rzece i szelest drzew, które wiatr porusza. Nagle dochodzą nas odgłosy stąpania kopyt końskich, na odbłasku rzeki rysują się sylwetki postaci ludzkich i koni.

— To oni, to Anglicy!

Tuż koło ucha mego pada strzał, drugi, trzeci, kilka dalszych w pewnej odległości. Okrzyk bólesci odzywa się w rzece, ale zaraz milknie.

— *Skitt not, per la Madonna! Skit not, maledetto!*²⁾ — woła głośno kilka głosów gniewnych.

— *Onze Menschen, Italiaansche corps*³⁾ — powiada mój towarzysz, odetchnąwszy i wybiegając na spotkanie nadchodzących.

¹⁾ Uważaj, uważaj, tam nadchodzi Anglik (Khaki).

²⁾ Nie strzelaj, na Matkę Boską, nie strzelaj nieszczęśny.

³⁾ Jedenastu ludzi, oddział włoski.

Główny oddział *Brandwacht*, leżący o kilkadziesiąt kroków za naszą linią, nadbiega, a nie zdając sobie sprawy z tego co się dzieje, otacza kawalerzystów.

Jest ich piętnastu, wychodzących kolejno z rzeki na brzeg. Dwóch z nich prowadzi trzeciego, widocznie ciężko rannego; ręce jego zwieszono, głowa bezwładna, oczy zamglone jakby z niepokojem szukają mimowolnego mordercy.

Burowie milczą zasmuceni i nie odpowiadają na złożenie przybyłych. Dowódca oddziału włoskiego, którego znałem ze słyszenia, kapitan Ricciardi, mężczyzna wysoki, rzuca się na naszego kaprała, potrząsając rewolwerem:

— Kafrze jakiś, żyrafa ślepa, zabiłeś mi człowieka i dwa konie. Ja ci w łeb palnę!

Oddział jego wracał z rekonesansu, podczas którego miał potyczkę z rekonesansem angielskim. Prowadził dwa konie, zdobyte na nieprzyjacielu i zbliżał się do nas, nie myśląc o *brandwacht* burgherów. Najbardziej był zagniewany stratą konia objuczonego, który od strzału został zabity i rzeka go uniosła.

Niebawem dnieje. Włosi, przeklinając ciągle, idą dalej, zabierając ze sobą umierającego towarzysza.

Inny epizod. *Brandwacht* pewna pochwyliła żołnierza angielskiego, który zbiegł z Ladysmith. Przyprowadzony przed *veld-corneta*, żołnierz ten opowiada, że niewidziany przeszedł przez forpocztę, a następnie kryjąc się za dniami w szczelinach skał, nocą szedł ku Tugeli. Błada, mizerna twarz jego, oczy gorączką płonące, nogi zakrwawione, odzież obdarta, wisząca na chudym ciele, wymownie świadczyły o tem, co wycierpiał podczas marszu. Rzuca się chciwie na kawał mięsa i na

suchar. Pytamy go, czy garnizon w Ladysmith jeszcze długo się będzie bronił.

— Dopóki starczy naboju i pocisków — odpowiada żołnierz.

— A na jak długo starczy wam jeszcze naboju i pocisków?

— Aż do chwili, gdy Buller, ten pies, nas odeprze aż do Madjuby.

Bohaterska odpowiedź tego „highlandera” zasługiwałaby na uwiecznienie w kronikach; ale Burowie, nie biorąc tego do serca, nie przedstawiali w dalszym ciągu otaczać pieczołowitością swego jeńca. Wiedzieli oni od dezertów i swoich szpiegów Kafrów, że położenie Ladysmithu było wprost krytyczne. Życie, pędzone przeważnie pod ziemią, oraz picie wody podziemnej, rozpowszechniło febrę i biegunkę pomiędzy żołnierzami i ludnością. Trzecia część załogi nie była już zdolną do jakiegokolwiek służby; porcje żywności zredukowano z dnia na dzień. Doszło do tego, że całemu pożywieniu wojska było końskie mięso. Amunicja również się wyczerpała, w szczególności zaś naboje do armat dużego kalibru, zapożyczonych z uzbrojenia porucznika Powerful. Ale White nie myślał o poddaniu się.

Uporeczywa obrona Ladysmithu pozostanie w historii świetnym przykładem tego, na co się może zdobyć wytrzymałość i zacięłość angielskiego żołnierza i w złotej księdze brytańskiej armii zajmie miejsce obok oblężenia Gibraltaru w 1703 r. i Lahoru w 1857 r.

Załoga krügersdorpska pracowała nad ulepszeniem i wzmocnieniem swoichzańców. V. Veyk sprowadził z taboru, znajdującego się w głównym obozie, dwa fur-

gony pełne narzędzi: obawiał on się zaczepnego powrotu Anglików w kierunku Colenso.

Kierując się jakimś dziwnym instynktem, Burowie nieomylnie wybierali linię ognia i oszańcowali ją. Profil nasypów do takiego stopnia zlewał się z terenem, że w odległości kilku kroków, było absolutnie niemożliwym jakiegokolwiek odróżnienie sztucznych robót ziemnych od naturalnych nierówności gruntu. Głębokość szanćców dochodziła zwykle do pasa, a nawet wyżej.

Zewnętrznym ścianom rowów obronnych nadawano kształt wypukły, tak że mogły one poniekąd zastępować osłony przy pozycji siedzącej ukrytych za nimi strzelców. Miejsce stopni zastępowały kamienie, na których strzelcy stawali podczas strzelania i po których w odpowiedniej chwili wydostawali się z szanćców. Okopy nie przedstawiały bynajmniej linii ciągłej, lecz przeciwnie, dzielone były na grupy, przeznaczone dla 6—10 ludzi. Tam, gdzie się do tego nadawał grunt, kopano kilka szanćców jeden za drugim, aby utworzyć kilka linii ognia, piętrzących się jedna nad drugą; łączono je za pomocą niegłębokich chodników. Wreszcie Burowie dążyli zwykle do kopania szanćców w ten sposób, aby ujścia ich łączyć z wąwozami lub ze szczelinami górskimi, co umożliwiało strzelcom zajmowanie lub porzucanie szanćców, tak że nieprzyjaciel ich nie spostrzegał.

Każdy Bur, nie czekając rozkazu, składał zawczasu w szanćcach worki z sucharami, blaszanki z mięsnymi konserwami czikagoskiego wyrobu i kilka nieprzemakalnych płóciennych worków z wodą. Naboje rozdawano w ilości nieograniczonej, nie paczkami, ale całymi pudłami lub workami.

Sam widziałem pudła z angielską marką „Ridge Cartridges”, zaopatrzone odpowiednimi numerami, tu również były przechowywane naboje „dum-dum,” mające gilzy z czterema nacięciami. Wielu Burów było uzbrojonych w strzelby gwintowane Lee-Metforda, oczywiście zabrane poległym Anglikom; również bez żadnych wyrzutów sumienia posługiwali się angielskimi kulami „dum-dum.”

Narzędzia do sypania szanćców, łopaty i motyki dużych rozmiarów, dostały się Burom drogą konfiskaty przez ich rząd ze składów domu handlowego Beckett & Comp., właścicieli wielkich kopalń złota.

Niezwykła ta praca w pierwszych początkach wydała się nam wprost nie do wykonania; każde uderzenie motyki w grunt skalisty krzesło tysiące iskieł, które się rozpryskiwały na wszystkie strony. Ręce mieliśmy zakrwawione od tej pracy, pot lał się obficie a jednak musiał pracować ten, kto chciał uchronić się od niebezpieczeństwa odłamków bomby lądowej. Zajęcie zaś jednego z gotowych już szanćców, według pojęć zajętych Burów, równałoby się zamachowi na cudzą własność, to też wspólnymi siłami pracowaliśmy nad usypaniem własnego szanćca.

Nieszczęśliwy nasz kolega Paweł R. wkrótce stracił wszelką chęć do praktycznej nauki fortyfikacji i robót ziemnych; wspaniałomyślnie więc ustąpił nam swe miejsce w rozpoczętej już przezeń jamie, oraz narzędzia do sypania szanćców, oświadczając, że sobie i tak da radę: „w razie zaś bombardowania — mówił — zasłonię się wałem z ciał zabitych.”

Nasz udział w bitwach 5—7 lutego poległ tylko na tem, że z krügersdorskiego oddziału zażądano

stu ludzi do wciągnięcia „Long-Toma” na szczyt „Dorn-Kloof” za pomocą lin, dźwigni i wałków.

Kolosalne to działo (z warsztatów Creuzot), które nie miało równego sobie w angielskiej artylerii, przy pomocy 60 wołów zostało przewiezione z End-Hill z pod Ladysmithu i teraz trzeba było połączonych usiłowań 200 ludzi, żeby je wciągnąć na górę. Poprzedniego dnia tyłuż Burów pracowało nad przygotowaniem drogi, urządzeniem platformy z dębowych desek i nad usypaniem przywałku z worków, napełnionych ziemią; 50 zaś ludzi zajmowało się przeniesieniem narzędzi.

Aby odwrócić uwagę nieprzyjaciela od prowadzonych robót, przebiegli Burowie wykonali następujący manewr: na jednej z sąsiednich wyżyn dotąd niezajętej, poukładali przyzmy kamieni, pobielili je ze strony zewnętrznej wapnem i dla uzupełnienia złudzenia, wpuszcili kilka koni niezdatnych pod siodła. Angielscy kanonierzy nie omieszkali skorzystać ze sposobności i zionęli morderczym ogniem na niemaną baterię, bombardowali ją przez dzień cały i dopiero wtedy spostrzegli swoją omyłkę, kiedy Long-Tom już wysunął swoją groźną lufę po za szaniec baterii.

Dzielni artylerzyści, niektórzy jeszcze w czarnych wyszytych sznurami mundurach francuskiego kroju, krzatali się około działa, a wymierzwszy na oko odpowiednią odległość i ustawivszy armatę pod odpowiednim kątem, posłali do Ladysmith kolosalną bombę.

Na dany sygnał generała Bothy, znajdującego się tuż przy baterii, bombardier pociągnął za sznur i rozległ się tak potężny strzał, że cała góra zadrżała w swoich posadach, a ja doznałem takiego wrażenia

jakby mi pękł w uchu bębenek, w oczach zamigotały ciemne płatki i mimowoli oparłem się o przywałek.

Stalowy smok, posłuszny woli i myśli kanoniera, otworzył paszczę, pochłoniął kulę i wypuścił ją z szalonym hukiem, aby szerzyła śmierć i zniszczenie w szeregach przeciwnika.

Artyleria angielska ze swej strony wszczeła ogień morderczy, pomimo ścielącego się już zmroku. Na prawo i lewo padały granaty, odłamki ich odskakiwały od skał lub obryzgiwały nas ziemią i piaskiem, wybuchy lidity przesycaly powietrze trującą wonią.

Po pierwszym wystrzale, nastąpił drugi. Kanonierzy bursey, chłodni, niewzruszeni, nabijają i strzelają jak podczas ćwiczeń na polu artyleryjskim, ale przypłacają życiem odwagę; krew ich broczy po platformie, niebawem u stóp góry ukazują się furgony Czerwonego Krzyża.

— *Hip-hip—hurra!* — krzyknęli nagle Burowie.

Od ich granatów zajęła się trawa i krzaki nadbrzeżne; początkowo unosił się tylko dym, lecz niebawem buchnęły płomienie.

— *Hip-hip—Hurra!* — powtarzali burgherzy.

Wystrzały już nie milkły, dodawała im celności łuna pożaru. Płomienie, strzelając coraz wyżej w górę; ogarnęły krzewy nad brzegiem Tugeli, i ujawniły płoch wśród pierzających Anglików.

Strzały ich stają się coraz rzadsze; zwycięstwo nasze zdaje się być zapewnione. Burowie, uszczęśliwieni, improwizują chórem jakąś pieśń wojenną na nutę kupletów z *café-concert*.

*En Buller sluggte rug!
Long Tom skitt hem rug!
Pass op roor de grof canon.¹⁾*

Chór milknie, podnosi nutę głos pojedynczy, tenorowy, ale porucznik, dowodzący działem zagłusza go, wołając:

— *Achtung! Skitt vorwärts!*²⁾

Śpiewy zamarły; natomiast strzały huczały do białego dnia, aż dopóki ostatnia kolumna angielska nie znikła za Tugelą.

* * *

Nasza bezczynność w obozie Krugersdorp nie miała trwać długo: już chmury zbierały się nad głową Burów i zwiastowały porażkę, która miała niebawem dotknąć ich armię. Dosięgła ona szczytu zwycięstw. Buller został pobity nad Tugelą, Gatacre schwytany w Kapie, Methuen zmiażdżony na rzece Modder. Tak świetne zwycięstwa nie zdołały jednak skłonić Burów do zaniechania taktyki wyczekującej i wszczęcia wojny zaczepnej, odpowiadającej środkom, jakimi rozporządzali.

Na nieszczęście, brakło im prawdziwego wodza, człowieka popularnego, któryby umiał ich ożywić i popchnąć do boju. Nie mógł tego dokazać ani Krüger, spodziewający się wciąż posiłków z zewnątrz, ani fleumatyczny, Piet Joubert, ani Cronje, który niebawem miał odegrać nad rzeką Modder tę samą rolę jaką Bazaine odegrał pod Metzem: wszyscy oni byli zwolenni-

¹⁾ Buller pobity, Long Tom go wypłoszył. Strzeżcie się wielkiej armaty.

²⁾ Baczność! Strzelać znowu!

kami ugody z Anglią, choćby przyszło ważnemi ustępstwami zyskać pokój.

Botha, Dewet, i prezydent Stein nie byli wówczas znani, a przynajmniej nie zyskali jeszcze dostatecznego rozgłosu, aby móc wywierać wpływ przeważający w sprawie wojny lub pokoju.

Tymczasem, dzięki zjednoczonym usiłowaniom angielskiego ministerium wojny *War office*, kolonij i starożyszeń patryotycznych, zdołano na początku marca zgromadzić w Afryce Południowej armię ze 180,000 ludzi i 325 dział. Na czele tych wojsk stał lord Roberts.

Od chwili jego przybycia, Burowie zaznali wojny, prowadzonej inaczej, na innym placu boju i którego wynik miał być dla nich fatalny.

* * *

Epizodami nowej wojny były: najazd Frencha, który na czele 8,000 jeźdźców przybył oswobodzić Kimberley w dniu 15-ym lutego, śmiały pochód Kitchenera wzdłuż rzeki Modder; powolne cofanie się Cronjego, który nie dostrzegając, że może lada chwila być otoczonym przez wojska nieprzyjacielskie, zdawał się już z góry gotowym do kapitulacji; podpisał ją też w dniu 27-ym lutego.

Aż do 18-go lutego śródgłos jej nie doszedł nad brzeg Tugeli. W dalszym ciągu paśliśmy nasze konie na wielkich łąkach pomiędzy rzeką a torem kolejowym; czasami ustawialiśmy strażę; z wysokości szanów widzieliśmy obóz Anglików wciąż spokojny.

Zdwojony ogień ich dział i karabinów nie budził w nas niepokoju, gdy nagle 18-go lutego wieczorem,

podeczas posiłku, ujrzelśmy pędzącego ku nam generała Łukasza Meyera. Wezwał komendanta i *veld-cornetów*. Po chwili rozległy się okrzyki: *Na koń!* Burowie wyskakiwali z pod namiotów i schronień podziemnych, chwyтали karabiny, kartaczownice i puszczali się w poгон za końmi. *Veld-cornetowie* biegali zadyszani, zwołując ludzi, zagrzewając do pośpiechu; ziemia dudniła od kopyt, Kafrowie pędzili konie z dzikim wrzaskiem. Wśród wrzawy i zamętu nikt się nie rozumiał, mało kto wiedział, o co chodzi. Burowie, dosiadłszy koni, ruszali, wzniecając tumany kurzawy.

Ten popłoch nie uszedł baczności Anglików; którzy kierowali już ogień na naszą górę.

Zdołaliśmy schwycić i osiodłać nasze wierzchowce, poczem, żądni wieści, wpadliśmy do namiotu komendanta.

Już wyruszył w pole; od znajomego nam żydka dostawcy dowiedzieliśmy się, że Burowie orańscy opuścili szczyty, powierzone ich straży na lewo od naszych pozycji. Anglicy ukazywali się już nad Tugelą. Botha, przyzywał na ratunek wojska z Krugersdorp, chciał przy ich pomocy zająć stanowisko zaczepne i odegrać Anglików.

Nasza kompania postanowiła, o ile możności, trzymać się razem. Pędziliśmy śladem Burów. Obóz był już zupełnie pusty.

Nie zapomnę nigdy tej szalonej jazdy przez góry i wąwozy. Jeźdźcy rozpraszali się, wiatr szumiał, granaty nas ścięły. Nic nie widziałem przed sobą. Wtem wyobraźnia postawiła mi przed oczy żebraka, którego widywałem w dzieciństwie: był to żołnierz, pozbawiony obu rąk i jednej nogi.

— Bylebym członków nie postradał! — życzyłem sobie w duchu.

Coś mi błysnęło przed oczyma, w tejże chwili zostałem wysadzony z siodła.

— Zabili mnie! — pomyślałem.

Jak długo leżałem na ziemi, nie wiem, lecz gdy powróciłem do przytomności, machinalnie podniosłem rękę do nosa — nie miałem *pince-nez*. Próbowałem dzwignąć się, byłem potłuczony, bolały mnie wszystkie kości — o parę kroków dalej mój koń drżał w męczarniach konania, z pyska wychodziła mu krwawa piana. Odłam granatu rozpruł mu brzuch i wyrwał trzewia.

Położyłem kres jego męczarniom kulą, wpakowaną w ucho, podjąłem *pince-nez*, leżące opodal na trawie, i usiadłem, namysławiając się: co teraz począć i gdzie pójść?

Słychać było wystrzały, lecz ani jedna kula nie padła w tę stronę. Chwilami ukazywali się jeźdźcy, ale znikali, zanim moje rozpaczliwe okrzyki mogły dojść do ich uszu. Byłem sam wśród gór cichych i milczących; południowe słońce prażyło mnie swym blaskiem.

Wtem na skłonie góry ukazał się Kafr na gniedym koniu. Tego Kafra widywałem w naszym oddziale: jeździł wszędzie za swoim panem, wioząc jego manatki. Przyszło mi na myśl odebrać mu konia.

— Może nieść worki — tłómaczyłem sobie.

Ale Kafr odgadł widocznie mój zamiar, gdyż ściął konia gołemi piętami i pomknął dalej w pełnym galopie. Chwyciłem karabin, zmierzyłem się, lecz w chwili, gdy miałem strzelić zdjęła mnie litość.

— Bóg z nim — pomyślałem. — Pójdę pieszo.

Ktoś zbliżał się do mnie trucheikiem. Był to Herr

Wagner we własnej osobie, miał twarz wesolą, zadowoloną.

— *So, so!* — mruczał, słuchając mojej relacji—dowodziłem zawsze, że trzeba mieć ze sobą luzaka: to chroni od podobnych kłopotów. Widzisz pan, wziąłem sobie tego konia z obozu.

— Odstąp mi go — prosiłem.

— A jeżeli mojego zabiją, co się stanie ze mną—zapytał wzamian.

— A jeżeli pan zostaniesz zabity, co panu przyjdzie z dwóch koni?

— Ha! i to może się zdarzyć — rzekł, przekonany moim argumentem, a więc odstąpię panu drugiego wierzchowca, ale pod warunkiem, że zobowiążesz się piśmiennie zwrócić mi go na pierwsze moje żądanie. Pisz..

Wyjął z kieszeni zatłuszczone książeczkę, noszącą tytuł: *Taschenkalender für königliche-bayerische...*

— Lepiej było zabić Kafra! — pomyślałem, kreśląc cyrograf.

Nowe wątpliwości ogarniały już *Herr Wagnera*.

— Nie wiem, doprawdy — mówił — którego konia panu odstąpić. Mój dobry, ale tamten może lepszy.

Zeskoczył z siodła i począł się przyglądać szkapie, pozostawionej zapewne przez swego pana, bo była niezdalna do użytku.

— Ha! zresztą bierz pan tego — oświadczył wreszcie. — Gdyby rotmistrz lub ktokolwiekbyś inny o to mnie prosił, odmówiłbym bez ogródki. Robię ustępstwo tylko dla pana, proszę to zapamiętać. Ale pański kwit nie jest formalny. Musisz pan podać rysopis konia i skreślić nazwisko wyraźnie.

Zastosowałem się do jego woli; gdym już konia

dosiadł, ulżyłem sobie siarczystym przekleństwem, tak straszmem, że aż rumak zastrzygł uszami z oburzenia.

— Co pan mówi? — spytał *Herr Wagner* z miłym uśmiechem.

— O, nie! — odparłem, cwałując obok niego. — Ale pamiętaj pan, gdyby Anglicy wzięli pana do niewoli i gdybym mógł pana oswobodzić, nie uczynię tego, dopóki mi pan nie dasz świadectwa piśmiennego, że pana ocalił.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, aż wreszcie złączyliśmy się z oddziałem Burów, należących do kompanii Ermelo; Botha przyzwał ich na pomoc, śpieszyli więc aby dogonić swoich towarzyszków u pontonowego mostu, z kądem przypuszczali, że ich poprowadzą do atakowania Boschrand, zajętego już przez Anglików.

Jasne słońce oświecało bezchmurne niebo, echa gór i zielonych dolin powtarzały odgłosy armatnie. Czułem się lekki, rzeźwy i szczęśliwy.

— Bylem tylko mógł odnaleźć moich towarzyszków i Burów z Krugersdorp — myślałem.

Most pontonowy był wzniesiony w miejscu, gdzie Tugela ścieśnia się pomiędzy wysokimi górąmi i płynie na wschód. Działo się tam coś niepojętego. Poręcz i sam most ugiwały się pod jeźdźcami, pieszymi i powozami. W pierwszej chwili nie można było zmiarkować w którą stronę dąży ta ciżba. W powietrzu rozlegał się wrzask i jęk, utworzony z ryku wołów i z tysiąca ludzkich głosów. Wśród tego zbiegowiska spostrzegłem Burów orańskich, łatwych do poznania po żółtej wstędze na kapeluszu.

— *De herls flog terug, godverdam!*¹⁾ — sarkali Burowie z Ermelo, torując sobie drogę do mostu.

¹⁾ Te chłopcy uciekają, na Boga

Szliśmy za nimi, tak jak oni prowadząc konie za uzdy.

Tłok nieopisany panował na moście, uginającym się pod ciężarem furgonów i armat. Konie potykały się, stawały dęba, woły jęczały, przerażone widokiem wody i wrzaskiem ludzkim.

Sam nie wiem, w jaki sposób przebyłem rzekę, wiem tylko, że zamoczyłem się do kolan, że miałem potłuczone boki i że w ręku pozostała mi tylko uзда— koń znikł bez śladu.

Nie mogłem się przecisnąć przez zwarty tłum, widziałem dokoła żołnierzy z Krugersdorp, dostrzegłem w oddali Bothę; siedział na dużym, siwym koniu i usiłował przemawiać do tłumu i zagłuszyć wrzawę ludzką i szmer pobliskiego wodospadu. Ma się rozumieć, były to wysiłki daremne,

W tym koncercie dysonansów, pierwsze skrzypce grała armata angielska, dokoła widać było objawy szalonej paniki. Burowie uciekali bezładnie, a działa się to nie pod wpływem wieści o zwycięstwie Anglików, lecz poprostu skutkiem pogłoski, że Roberts wtargnął do Oranii na czele olbrzymich posiłków i że najsilniejsza ostoja Burów, *lew Transwalu*, Cronje, myślał o zdradzie.

Te pogłoski, rozsiewane niewiedomo przez kogo, padały między Burów orańskich, jak granaty, szerząc niemińszy postrach, skłaniając ich do opuszczenia wozów i dział, byle prędzej wracać do domowych pieleszy dla obrony farm i rodzin.

Napróżno Botha do nich przemawiał, nie słuchali, lub też przerywali mu z gniewem:

— Łatwo ci mówić! Nie nie grozi twojej rodzinie, my musimy biedz na ratunek żon, dzieci i mienia.

— Cronje, Joubert i wy wszyscy jesteście e zdraj-

cami -- wołał stary Bur, wymachując pięścią. Zaprzeczaliście nas Anglikom.

— Nieprawda! Przez trzy dni walczyliśmy w Boschrandzie o czczym żołądku, bez sucharów, bez wody. Wyście nie przyszli nam z pomocą. Teraz już zapóźno, panie generale — mówił Bur, z głową owiniętą w krwawą szmatę.

Na twarzach widać było rozpacz i wściekłość. Wystrzały armatnie padały coraz częściej, słychać było wyraźnie salwy piechoty angielskiej.

— *Doar kommt de Kaki! De Kaki!* — zawołał jakiś tchórz, a ten okrzyk wystarczył, aby spłoszyć ludzi, którzy tak niedawno bez cienia obawy odpierali atak nieprzyjaciela, dziesięćkroć silniejszego liczebnie.

Ludzka fala uderzyła znowu o most; ci nawet, którzy już przeszli przez rzekę, zawrócili się znowu, woły ryczały, jeźdźcy tratowali pieszych; między innymi i ja zostałem powalony i musiałem torować sobie drogę kolanami i łokciami. Zemściłem się za to, chwytając pierwszego konia, który biegł bez jeźdźcy. Wyszedłem dobrze na zamianie. Mój wierzchowiec był ognistym rumakiem pół-krwi i pocieszył mnie zupełnie po stracie dychawicznej szkapy *Herr Wagnera*.

Burowie całemi gromadami zbiegali z góry. Lecz znowu zagrzmiął potężny głos Bothy. Transwalczycy z Krugersdorp, z Ermelo, z Karoliny, z Middleburga, a nawet jeźdźcy z Oranii otoczyli go kołem. Wkrótce ustała wrzawa. Tłum został ujarzmiony silnem i gorącym słowem generała, będącego jakby uosobieniem dzielności i odwagi.

— Prowadź nas! — krzyknęło ze sto głosów. I ja,

cudzoziemiec, wśród tego ludu, po raz pierwszy uczułem, że żołnierz może oddać życie na skinienie wody.

Ktoś chwycił mnie za ramię. Odwróciłem się. Otaczali mnie dawni towarzysze — ze źrenic ich strzelał ogień zapału; uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu.

— *Komm an! Komm an Krugersdorpsche!*¹⁾ — wołał stary Van Veyk, wstrząsając nieodłącznym parasolem.

Słyszeliśmy jak mówiono, że oddział wyrusza, aby zaskoczyć znienacka pikietę angielską, stojącą na sąsiedniej górze. Noc zapadała, zimny wiatr huczał i świstał po dolinie.

Szliśmy stokiem wzgórza, równolegle do rzeki, ścieżką wąską, wspinającą się ku szczytowi. U stóp naszych, wody Tugeli w całej swej szorokości spływały kaskadą.

Ścieżka zaprowadziła nas do wąwozu. Kazano nam zostawić tutaj konie. Komendant stanął i policzył jeźdźców, przesuających się przed nim: było ich czterystu pięćdziesięciu.

Z niesłychaną zręcznością Burowie wspinali się na wyżynę. Zalegała ją cisza. Anglicy nie spodziewali się widocznie atku.

Jeden z nas potrafił o kamień, stało się to hasłem dla Anglików. Dali ognia, ich kule poczęły spadać na nas, jak grad. Wtem Bur, pełzający obok mnie, podniósł ręce do góry, rzucił karabin, wydał przeraźliwy okrzyk i runął w przepaść.

Dotarliśmy do płaskowzgórza, przed oczyma na-

¹⁾ Tędy! tędy, ludzie z Krugersdorp!

szemi oczami przesuwaly jakieś cienie, błyskawice wystrzałów przerywały ciemności. Potknąłem się o martwe zwłoki.

Pikieta angielska nie broniła swego stanowiska. skorzystaliśmy z jej ucieczki, aby usypać szanice; wyrwaliśmy kamienie z ziemi i układaliśmy je stosami. Gdy dzień zaświtał, mieliśmy okrwawione ręce. Pomimo to nasze okopy były podobne do domków z kart, lada powiew mógł je zdmuchnąć.

Tymczasem artyleria angielska wszczęła znowu ogień z wysokości odległej góry; jej granaty nie dosięgały nas jeszcze, lecz już od czasu do czasu słyszeliśmy świst kul nieprzyjacielskich.

Przeklinając Bullera, Chamberlaina, Cronjega i Krügera, zabraliśmy się znowu do roboty i lepiej nam się udało; przy wspólnych wysiłkach zdołaliśmy dociągnąć odłamy skał do naszej barykady,

Daszkow, który swego czasu był słuchaczem uniwersytetu, skorzystał ze sposobności, aby nam wyłożyć pierwsze zasady geologii. Ripert, wedle zwyczaju, trzymał się na uboczu i mówił, że stosy trupów sprawiają mu obrzydzenie. Natomiast gotów był przynieść nam wody z Tugeli, co było czynem bohaterskim, albowiem ścieżka, wiodąca do rzeki, była usiana kulami burskimi, które nie przestawały padać z góry.

Głód dokuczał nam niemniej od pragnienia, prztem słońce prażyło tak silnie, że skały były rozpalone, jak żelazo w ogniu. Baterie angielskie okalały naszą osłonę. Piechota stała na uboczu, pozostawiając artylerii łatwe zadanie zmiażdżenia nas doszczętnie.

Jęki rannych, rżenia konających, stawały się coraz głośniejsze i częstsze po za naszym okopem.

Tak nam zeszedł dzień cały. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że nakazano cofać się. Dzięki ciemnościom i gwałtownej burzy z deszczem, zdołaliśmy dojść do naszych wierzchowców i wracaliśmy ku rzece tą samą drogą, którąśmy już raz przebyli.

Noc była straszna, grzmot przewalał się i odbijał echem od ścian wąwozu. Wśród wężyków błyskawie widzieliśmy kaskadę rzeki, a nad jej brzegami tysiące jeźdźców, spuszcających się ze stoków.

Skoro tylko nasze wojska przeszły po moście pontonowym, wysadziliśmy go dynamitem w powietrze. Dokoła panowało rozprężenie, burgherowie łamali szeregi, jechali pojedynczo lub bezładnymi grupami, za nimi ciągnęli ranni, pozbawieni wszelkiej pomocy, wystawieni na deszcz ulewny; ich jęki łączyły się z odgłosami burzy.

Cudem niemal zdołałem odnaleźć moich towarzyszków. Znużeni, zgłodniałi, szliśmy naprzód, nie wiedząc gdzie dążymy. Huragan ustawał, jasność zwalczała ciemności.

Dotarliśmy do obozu, opuszczonego przez oddział z Krugersdorpu; świeciło tam jeszcze parę ognisk, ziemia była usiana pobitymi kotłami, pustymi workami, stratowanymi sucharami. Zjadaliśmy je łapczywie, bo głód był silniejszym od obrzydzenia. Nasyciwszy się jako tako, rozpaliliśmy ognisko i zasnęliśmy snem kamiennym.

Daszkow podał projekt, aby jeden z nas pilnował kolejno obozu, ale ten wniosek został przyjęty... jedno głośnie chrapaniem.

Tylko Wagner nie spał: siedząc przy ognisku, odczytywał moje zobowiązanie i nie mógł zrozumieć, jakim cudem koń gniady i bez ogona, zmienił się w łognistego karego ogiera.

Wtem wśród nocy zagrział potężny głos Busukowa:

— Anglicy! Anglicy!

Busukow przez sen usłyszał był jakiś szelest; natychmiast zerwał się na równe nogi i stwierdził, że opodal od naszego obozu, pontonierzy angielscy odbudowywali most, któryśmy wysadzili w powietrze.

W mgnieniu oka dosiedliśmy koni, a przed upływem godziny połączyliśmy się z Burami z pod Krugersdorpu, którzy mieli już nas za przepadłych.

Ujrzelśmy wśród nich oddział Węgrów — byli umyści, uczesani, nakarmieni. Popijając z rozkoszą herbatę, musieliśmy wysłuchiwać opowiadań *ritt-meistra*, Wygłaszał improwizację o swoich walecznych czynach. Stoczyli jakoby zawzięty bój przy brodzie pod Colenso.

— Wyobraźcie sobie — mówił rotmistrz — kule brzęczały nad nami, jak osy. Pułki angielskie szły na nas z rozpostartymi chorągwiami.

— Z chorągwiami? Ależ Anglicy nie mają chorągwi — wtrąciłem. — Przez ostrożność pozostawili je w londyńskiej Wieży.

— Pan śmie podawać w wątpliwość słowo oficera? — zawołał porucznik austriacki z koguciem piórkim, zatknętem w kapelusz tyrolski.

— *Bassamo-teremtete!* — zaklął trzeci po węgiersku, miażdżąc nas spojrzeniem.

Ale nasze gęste miny odjęły im ochotę do sporów. Oddalili się, gwizdząc marsza Rakoczego.

* * *

Armia Bullera przeszła przez Tugelę; namioty angielskie zostały ustawione w duży czworobok na miejscu, gdzie przed kilku dniami obozowali zapaśnicy z Krugersdorpu.

Szeregi burskie przerzedzone, skutkiem popłochu w dniu 19 i 20 lutego, zapępiały się znowu ludźmi, wracającymi z odpoczynku; powracali też i ci, którzy po pierwszych niepowodzeniach uciekli, a wstydzieli się teraz swego tchórzostwa. Było takich niemało. Na Grobler-Koof ustawiono słynną armatę „Long-Tom,” przewiezioną z pod Ladysmith. Zaczęto sypać szanice i ustawiać baterie.

Nasz oddział rozłasował się na wzgórzach Pietershill. Ludzie zmieniali się kolejno. Podczas, gdy jedni pracowali przy brandwachcie na górze, drudzy wypoczywali w dolinie, przerźniętej rzeczką. Tu stała ferma, opuszczona przez właściciela Petersa, jednego z najbogatszych obywateli Natalu. Po zwycięstwach Bullera uciekł był z rodziną do Pretoryi, wiedząc, że niebezpiecznie byłoby udzielać poparcia wojskom transwalskim.

Ferma przedstawiała smutny obraz; żywopłoty z kaktusów i oleandrów były wyrabane, konie i woły pasły się w ogrodzie, podwórze było zarzucone narzędziami gospodarczymi, wozami, uprzężą, szczątkami furgonów. W domu urządzono lazaret, białe ściany były krwią zbryzgane, na słomie leżeli ranni i konający. Nie słychać było jęków. Biedacy znosili cierpliwie męczarnie.

Jeden, z głową owiniętą bandażem, próbował wstać, lecz opadał znowu na ziemię.

— *O mij fran, Kathrine!*¹⁾ — szepnął głosem ochrypłym.

W tejże chwili z przyległego pokoju wyszła kobieta z imbrykiem w ręku. Miała na głowie biały czepiec, z pod którego wysuwały się pukle jasnych włosów. Twarz jej była tak tak smutną i bolesną, że domyśliłem się odrazu, iż jest żoną rannego.

Wnoszono coraz nowy zastęp rannych.

— Czemu pan tu miejsce zajmuje? — zawołał do mnie felczer. — Oj! ci *uitlenderzy!* oni winni wszystkiemu! Oni wywączali złoto, rozpoczęli wojnę, a teraz nibyto walczą w naszej obronie.

Wyszedłem do ogrodu. Tutaj, w cieniu kwitnącego oleandra, Burowie grzebali „uitlendera,” cichego Raucha, jednego z dwu braci Styryjczyków. Przyniesiono go z roztrzaskaną głową z Pietershill. Brat wystrugał mu drewniany krzyż z napisem:

„Urodzony w Styryi 1-go maja 1875 r., zabity pod Pietershill 21-go lutego 1899 r.”

Jak dawniej w obozie pod Colenso, tak teraz w Pietersfarm, Burowie niezajęci przy szanicach, zbierali się co wieczór na modlitwy. Odprawiał je głośno *veldcornet*; inni powtarzali za nim słowa i śpiewali hymny, rozlegające się echem po wąwozach i dolinach. Z pośród zwartego tłumu występował naprzód improwizowany kaznodzieja. Podnosił głowę do góry i po chwili uroczystego skupienia zaczynał: *Gelieve broeders*²⁾ Mówił, że Bóg wszechmocny rozgniewał się na swój

¹⁾ O moja żono, Katarzyno!

²⁾ Ukochani bracia!

naród, lecz że chwile ciężkiej próby miną i siły niebieskie przyjdą na ratunek obrońców wiary i ziemi ojczyźnej.”

Surowe oblicza wojowników ożywiały się nadzieją.

Słuchałem tego z rozrzuwaniem, lecz mimowoli przychodziło mi na myśl, że Anglicy tak samo śpiewają hymny, tak samo oddają się pod opiekę Boga i słuchają podobnych kazań i przepowiedni.

I czemuż narody chrześcijańskie, zamiast wzywać pomocy Boga dla walk z bliźnim, nie słuchają raczej głosu chrześcijańskiego sumienia; czemu tępią się wzajem i w tej krwawej walce liczą na sojusz niebiańskiego sprzymierzeńca?

Nie czas było rozstrzygać podobne zagadnienia. Należało zająć się sprawą doraźniejszą: zapędzić konie na noc w zagrodę, wyczyścić karabin i pomyśleć o wieczery.

Na fermie pozostało dużo drobiu, zwłaszcza kur i indyków, w okolicy błakały się stada kóz, baranów i wieprzów, w rzeczce były kraby i żółwie.

Nie myśleliśmy jednak o gastronomicznych uciechach. Angielska artyleria grzmiała bezustanku; dniem i nocą trzeba było bronić szaniców i odpierać atak przeciwnika. Buller nie szczędził ludzi, aby wyprzeć nas z ostatniej pozycji, oddzielającej jego armię od Ladysmith.

Zapamiętałem bitwę z dnia 20-go lutego. Anglicy opasali nas półkolem. Ogień naszych karabinów czynił wyłom w ich szeregach, ale ogniwa spajały się znowu, zdawało się, że ta groźna lawina zniszczy wszystko po drodze i zdusi garstkę śmiałków, ukrytych za szanicami, usypanymi byle jak, naprędce.

Ale owa garstka oczekiwała spokojnie zbliżenia się przeciwnika.

Gdy znalazł się na odległość wystrzału, nasi powitali go gradem kul; cała góra została usiana trupami. Nie osłabiło to siły natarcia, nasze pułki zaczęły się wspinać na wzgórze, z szeregów odrywali się zapaśnicy i podbiegali tak blisko, że mogliśmy widzieć ich twarze spocone i błysk oczu. Nie doszło jednak do zwartej walki, do ścierania się piersią o piersi.

Odparliśmy atak szczęśliwie. Straty Anglików były bardzo znaczne. Sam pułk Royal Inniskilling postradał 300 ludzi. Buller musiał prosić o zawieszenie broni, aby móc sprzątnąć poległych i rannych. Widok pola bitwy był jeszcze okropniejszy, niż na Spionkop.

Gdy upłynęło zawieszenie broni, Anglicy ponowili swe ataki ze zdwojoną zaciekłością i z jednakowym powodzeniem. Okopali się o 300 kroków naprzeciw naszych rowów i nękali nas swoimi kulami nieustannie, tak że nie mogliśmy wysunąć głowy po za osłonę.

Mimo zupełnego braku żywności i braku snu, zdołaliśmy się jeszcze utrzymać przez dni cztery. Pod koniec byłem tak wyczerpany, że usypiał na stosach trupów, którymi usłane były szanice. Nie było czasu ani rąk do grzebania poległych: we dnie opadały chmury sępów, nocami rozlegało się wycie szakalów. W rzadkich chwilach, gdy strzelanina ustawała, wyrzucaliśmy trupy za szaniec.

Z ogólnej liczby 420 burgherów, których komendant Van Veyk przeliczył nad Tugelą, zostało zaledwie 80 — 90. Wielu położyło głowy na Pietershill,

reszta rozpierzchnęła się, uznając sprawę za przegraną. Znikli też i nasi Węgrzy. Opowiadano mi w następstwie, że wzięwszy za pozór sprzeczkę z *veld-cornetem*, zabrali furgony, muły, trzech Kafrów i wyruszyli po nowe laury do wolnego państwa Oranii.

Śmiercią bohaterską zginął nasz ulubieniec Paweł R.; bomba liditowa rozszarpała go i zmiażdżyła w sposób straszny. Krew i mózg obryzgały towarzyszków. Nie sądzonem mu było doczekać się końca wojny i osiąść na fermie ze swoją ukochaną, jak o tem marzył.

Królewsko-bawarski porucznik przypłacił swoją pogardę zawodowego artylerzysty dla gwintowanej broni małego kalibru, którą musiał nosić, jako piechur: nie czyścił wcale swego mauserowskiego karabinu i doprowadził go do takiego stanu, że kiedyś, gdy musieliśmy strzelać bezustanku, jego broń została roztraskana na drobne kawalki.

Omdlałego i z twarzą okrwawioną, zaniecono go do lazaretu, ale tam brakło już miejsca i pomocy lekarskiej, tak iż wyprawiono go do Glencoe, gdzie znajdował się oddział Czerwonego Krzyża.

Mnie powiodło się lepiej: stękałem przez trzy dni, chwytając się za bok, ale na tem się skończyło.

Oto jak się rzeczy miały:

Kula angielska przebiła mi patrontasz, rozplaszczyła leżące w nim patrony i odskoczyła, nie zadraśnawszy mi nawet skóry, choć pocisk był tak silny, że zachwiałem się na nogach i tchu mi zbrakło.

Z ochotników pozostał tylko N., Busukow i ja, Daliśmy sobie słowo, że będziemy trzymali się razem do końca.

27-go lutego ostatni bój zagrzemiał, góry się trzęsły i jęczały od bombardowania. Do wieczora leżeliśmy ukryci pod naszym okopem, dusząc się od wiewów liditu, wtem na górach, po naszej lewej ręce, ukazały się okrągłe kaski Anglików. Byliśmy osaczeni z obu stron.

Burowie, leżący za okopami, dali ognia. Z ich okrzykami mieszały się wołania Anglików:

— *Amajuba! son of a bitch!*¹⁾

Wprost na nas pędził Anglik, widocznie oficer, w kasku, podobnym do grzyba.

— *Hands up! bladdy-fool beggars!*²⁾ — wrzeszczał, potrząsając rewolwerem.

Gdzie niegdzie Burowie bronili się na pięści, odpierając napastnika, który coraz bliżej nacierał. Trwało to z dziesięć minut.

Nie pamiętam, w jaki sposób wydobyłem się z nawały przeciwników, pijanych zwycięstwem. Z ośmdziesięciu Burów ocalało zaledwie siedmnastu, oraz N. i Busukow istnym cudem.

Komu jeszcze koń pozostał, ten pędził, aby się połączyć z głównymi siłami Burów, które już pierzchnęły wczesnym rankiem. Mój koń padł dnia poprzedniego; szliśmy pieszo z N., ostre kamienie kaleczyły nam nogi, gałęzie biły nas po twarzy.

Dążyliśmy ku północy, gdzie w blasku księżyca, sterczały szczyty Lombards-Kopp. Wiatr gnał poszarpane strzępy chmur, które zlewały się w bezkształtne

¹⁾ Amajuba (bitwa przegrana przez Anglików na górze Majuba) psi synie!

²⁾ Ręce do góry, przeklęci żebracy!

figury i biegły także na północ, wskazując nam jakby drogę.

Dokoła panowała cisza, tylko chwilami wiatr przynosił nam tętent kopyt końskich i skrzyp wozów.

* * *

Oto, według urzędowych sprawozdań angielskich, opis działań Bullera od 14 do 24 lutego.

Po trzech nieudanych próbach, zwróconych w środek i na prawy flank Burów (15 grudnia) Buller postanowił ovladnąć górami, na których opierał się prawy flank przeciwnika. W tym celu dnia 16-go lutego skierował konną piechotę, stojącą pod dowództwem lorda Dundonald w Hussar-Hill, i ściągnął tam swoje główne siły, a nazajutrz, ustawił na górze 18 dział dużego kalibru i 48 armat polowych.

Wszystkie zwróciły swój ogień morderczy na Green-Hill, z kąd odpowiadały tylko trzy armaty Burów.

Działania artyleryjskie nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Na wschód od Colenso łańcuch pagórków wznosi się nad brzegiem Tugeli. Burowie zajęli i ufortyfikowali: Hlangwam-Hill, szczyt wstawiony przy odparciu ataku Bullera w dniu 15 grudnia, Green-Hill, Monte-Christo¹⁾ i Monte-Cingolo.

Dnia 16 lutego brygada Hildyarda przeszła przez rzeczkę Gomba-Spruit i roztasowała się u podnóża Monte-Cingolo. Dnia 17-go Anglicy rozpoczęły energiczniejsze działania.

Brygada Nortona natarła na Green-Hill, konna

¹⁾ Burowie nazywają tę górę Booschrand.

piechota Dundonald okrążyła prawy flank Burów, a brygada Hildyarda poczęła wdzierać się na strome, porośłe gęstemi krzewami stoki Cingolo, opanowała tę górę i napotkawszy słaby opór przeciwnika, ovladnęła nazajutrz Monte Christo.

Dnia 19-go lutego góra Hlangwane przeszła we władanie Anglików. Z telegramów urzędowych można by sądzić, że Burowie nie stawiali poważnego oporu, że opuszczali okopy, zanim przeciwnik zbliżył się i że tylko oddział, który przeprawił się przez Tugelę, przez czas krótki powstrzymał pochód zwycięski Anglików. Lecz ogień ich artylerii, skierowany, z Green Hill, zmusił i ten oddział do rejterady. W dniu 21-ym lutego wojska Bullera przeszły Tugelę pod Colenso.

Działania Bullera pod Grobler-Koof i Pietershill, były mniej udane. Bitwy z 22-go, 23-go i 24-go lutego można uważać za porażki Anglików. Największe straty poniosła irlandzka brygada Harta. Naczelnik 11-ej brygady, generał Wynne, był ciężko ranny i odstąpił dowództwo pułkownikowi Kitchenerowi, bratu szefa sztabu głównego.

Wtedy Buller przeprowadził 64-tą brygadę za Tugelę. Po rozpaczliwym oporze Burów, Anglicy zdobyli górę i wzięli 60 jeńców. Burowie odstąpili we wszystkich punktach, cofnęli się z pod Ladysmith i z ogromnym taborem i w 1,400 wozów podążyli do Glencoe. Anglicy nie stawiali im oporu. Odstąpienie Burów od miasta, zostało dokonane spokojnie.

Dnia 9-go marca Buller wkroczył do oswobodzonego Ladysmithu. Garnizon i mieszkańcy, wyczerpani czteromiesięcznym oblężeniem, powitali go radośnie. Głód i choroby doprowadziły załogę do takiego stanu

że z 10,000 ludzi, zaledwie 3,000 było zdolnych do noszenia broni. Pozostało zaledwie 40 nabojęw na każdą armatę. Łatwo pojąć, że w takich warunkach, garnizon nie wytrzymałby nowego szturm i że Buller przybywał w porę.

Armia tego dowódcy od 14-go do 27-go lutego postradała 112 oficerów i 2032 żołnierzy w poległych i rannych. Poniesione trudy czyniły ją niezdolną do energicznego ścigania przeciwnika.

Buller nie zawdzięcza swoich powodzeń zdolnościom dowódcy, ani też odwadze i sprawności swej armii, lecz tylko temu, że Burowie, po porażce Cronjego, nie mogli się utrzymać w Natalu i że oddziały ich z pod Ladysmith przeszły częściowo do wolnego państwa, a częścią ufortyfikowały i zajęły wąwozy, wiodące do Drakensbergu i dalszych poruszeń Bullera czekały z wyżyn Biggersbersberg, na południe od Glencoe.

Garnizon Ladysmithu został odkomendowany dla odpoczynku do obozu pod Pietermaritzburgiem. White otrzymał urlop i powrócił do Anglii, gdzie go spotkały owacy, jak gdyby prawdziwego bohatera.

Wiść o oswobodzeniu Ladysmithu wywołała w Anglii radość, dochodzącą do szału. Damy, ułicznicy i dostojni gentlemenowie, biegali po mieście, wymając flagami z napisem: „*Hip-hip-hurrah for White!*” „*Bravo Buller!*” „*Joubert old fool!*”¹⁾

Nieokiełznany szal radości tej milionowej masy, przypominał średniowiecznych biczowników, płasających wśród tańca św. Wita.

Wielki naród, który wydał takich geniuszów jak Szekspir, Byron, Newton, dostał *delirium tremens* na

¹⁾ Joubert stary głupiec.

wieść, że regularna, liczna armia, posiłkująca się wynalazkami najswiezszej techniki, odniosła niezbyt chlubne awyciestwo nad garstką farmerów, których liczba wraz ze starcami i dziećmi, nie dosięgała połowy ludności jednej z dzielnic Londynu.

Sława angielskiego „Union Jack” była ocalona, egoizmowi narodowemu stało się zadość, pomimo to angielscy dzingoiści nie chcieli słyszeć o pokoju i domagali się dalszych działań wojennych — *for a glorious sake.*¹⁾

I znowu zagrzmiały armaty, znowu polała się krew. Dotychczas tleje zarzewie tej wojny okrutnej, niesprawiedliwej i będzio tłało, dopóki nie spełnią się słowa Zbawiciela:

„Kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie.”

K O N I E C.

¹⁾ Dla dobrej sprawy.

